Nr. 27 (1071). Warszawa, dnia 23 Czerwca (6 Lipca) 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 11 do 12 rano.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

UGRON I FRANCYA.

Na Węgrzech wypełzła z nory tajemnic duża szacherka polityczno-pieniężna. Niejaki Rimmler, wydalony z ministeryum spraw zagr. w Wiedniu, a stąd malkontent poszukujący pieniędzy i rozgłosu dla pieniędzy, ogłosił broszurę o zamysłach i staraniach wybitnego przedstawiciela ludu Ugrona w r. 1899 dla wywrócenia systematu politycznego Austro-Węgier. W broszurze swej Rimmler twierdzi, że w październiku 1899 r. Ugron wspólnie z nim żądał: od Delcasségo pieniędzy na zorganizowanie stronnictwa przychylnego przymierzu z Francyą, od Watykanu poparcia za pośrednictwem księży. Miano założyć wielki dziennik własny i wziąć pod kuratelę dzienniki inne tak, aby wywołać jeden powszechny, a potężny prąd w umysłach ku zgodzie ze Słowianami wewnętrznymi, których się dotychczas prześladuje, ku sympatyi ze strony Słowian zewnętrznych, Polaków i Czechów w Austryi, do których teraz niema się wielkiego nabożeństwa. Prócz prądu w umysłach miano powołać do życia coś pochwytniejszego: bank francusko-węgierski lub francusko-rosyjsko-węgierski do walki handlowej z Niemcami, a przytem do pieniężnego zasilania celów politycznych. Taki miał być według Rimmlera programat Ugrona, zakreślony, jeżeli nie wielkim, to dużym, promieniem i w każdym razie zajmujący.

Ugron jest patryotą radykalnym — stoi na gruncie r. 1848, bodaj nawet 1849 i związek z Austryą uważa tylko za dynastyczny, a dynastyę za rzecz przypadku; ale ten ugronowski radykalizm dziwnie jakoś zespala się z konserwatyzmem, przypominającym poniekąd nacyonalizm Déroulède'ów Habertów, Régisów — i tylu innych z bulanżyzmu wyrosłych. Radykał polityczny jest dobrym katolikiem, bez Watykanu i antysemityzmu operować nie umie. W danym wypadku z oskarżeń Rimmlera jedno tylko dotychczas odeprzeć usiłował: przeczy jakoby z Delcassém mówił o pieniądzach. Nie wypiera się ani Rimmlera, ani współdziałania z nim, a d. 28 z. m., broniąc siebie w sejmie, bronił i przymierza z Francyą i związania się z Watykanem i potrzeby wielkiego dziennika-apostoła i wreszcie banku jako źródła dochodów, któreby szły na cele stronnictwa. Programat swój zamknął w krótkich wyrazach: państwa wychodzące na morze Śródziemne powinny się z sobą połączyć, aby powstrzymać nawałę ludów germańskich i słowiańskich; tych państw, tej polityki trzymać się powinny i Węgry. Lgnienie do Francyi ma za sobą historyę. „Francya zdziałała wiele dla wolności ludów, a nie było jeszcze wypadku, aby za niemieckie pieniądze walczono o wolność. Niemcy inaczej-by dziś na Węgrów patrzyły, gdyby silna opozycya przeciwrządowa w Peszcie popierała przymierze z Francyą.“ To dało Ugronowi oklaski, okrzyki i miłość studentów, gdy się na ulicy pokazał.

P. Delcassé nie wypiera się przyjęcia Rimmlera, a następnie i samego Ugrona, tylko zamyka swoje współdziałanie w skromnych granicach — banku dla celów czysto handlowych: uchylił się od dziennika, nie chciał słyszeć o programach politycznych, pragnął tylko dać ujście kapitałom francuskim na zewnątrz, o ile go u siebie nie mają: postąpił, jednem słowem, jak człowiek poważny, który przecież z takimi Rimmlerami, a nawet Ugronami, nie może o takich rzeczach sam rozmawiać. Ale i nie sam rozmawiać-by nie mógł, nie chciał, nie rozmawiałby nigdy, nawet przez najdalszych pośredników. Stary Ugron jest dzieckiem; wybrał się do p. Delcasségo po to właśnie, czego on nie ma: po wspólny program państw i narodów śródziemnomorskich, wielkich zrzeszeń łacińskich pod hegemonią Francyi. Minęły już czasy romantyzmu, wysysającego słodkie miody nawet z trucizn i nawzajem, zatruwającego swem marzeniem najsłodszą nawet rzeczywistość. Wyrwanie Austro-Węgier z objęć Prus, powściągnięcie fali germańskiej — to mogłoby się ministrowi uśmiechnąć, gdyby nie było nazbyt romantycznem. Polityk trzeźwy stawia sobie i trzeźwe też cele, operuje, nie miłością, nie jakiemiś rodzinnemi uczuciami, ale interesem. Pójdzie z dyabłem, jeśli na tem zarobi, żyje chwilą bliską, konkretną, nie jakąś tam daleką, filozoficzną przyszłością. Jeżeli chodzi o Niemców, p. Delcassé ma na nich trutkę, oddawna wypróbowaną, niezawodną i tej się trzyma: nie potrzebuje programatów ugronowskich.

I w tem jeszcze okazuje się Ugron dzieciakiem, że wierzy we Francyę jako opiekunkę ludów i że nawet o niej jako o opiekunce pamięta. Niesłychanie ostrożnym być potrzeba, jeśli, opierając się na historyi, nie chce się podeptać prawdy. Polityka dynastyczna XVII w. oka patrzącego w przeszłość nawet na chwilę zatrzymać na sobie nie zdoła. W wieku XVII ona tylko podsunęła Richelieu'mu myśl popierania protestantów niemieckich, a do wiązania się z Bernardem Weimarskim popchnęła Francyę wręcz chciwość zaborcza. Nie dopomogła Francya Niderlandom, i tylko pośrednio podczas wojny Trzydziestoletniej ułatwiła im rezultat ostatecznie osiągnięty w pokoju westfalskim. W wie-

ku XVIII było trochę zrozumienia i chwytania nietylko chwili i korzyści doraźnej, ale i pożytków trwałych na wielkich błamach czasu; było rzeczywiste opieranie się nawale germańskiej, wówczas już prowadzonej przez Prusy, było i dążenie do takiego układu potęg, który dając ludom byt bezpieczny, dawał zarazem Francyi jako mocarstwu wpływ rzeczywisty, stały, na losy Europy; ale te dobre skłonności krótkimi tylko, marnymi objawiły się wybuchami. Za Wielkiej Rewolucyi była wiara powszechna prawie w orędownictwo i opiekuństwo francuskie: wierze nie odpowiedziały czyny. Oręż francuski spędzał ćmy średniowieczności, rozpościerał granicę Francyi, ale o wolności ludów nie myślał. Spadkobierca i zarazem fałszerz rewolucyi więcej potrzebował zwycięztw dla swego specyalnie wojennego geniuszu, niż opieki nad ludami dla swej polityki, a w polityce więcej dbał o dyplomatyczny podstęp, niż o polityczną zasadę. Nienawiść ku Anglii była w nim jedyną zasadą rzetelną i trwałą. Dalsze dzieje w. XIX pokazują, że tylko na wyzwolenie Włoch przez Napoleona, chociaż żądzą zarobku natchnione, można się patrzeć okiem Ugrona. Tak było. Państwo jest wielkim egoistą: myśli o sobie i pracuje dla siebie i dla siebie jedynie żyje: tylko wtedy, gdy jest prawdziwie rozumnem i odważnem, zdaje się nam, że coś nie dla siebie robi. Prawda surowa, ale i życie twarde.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KARTKI Z DZIENNIKA LEKARZA.

I oto znów minął jeden dzień praktyki lekarskiej, jeszcze jeden dzień wyrafinowanej blagi, graniczącej z szarlataństwem, jeszcze jeden dzień wiecznych kompromisów z sumieniem, w imię tak zwanej etyki lekarskiej.

Leżałem jeszcze w łóżku, kiedy przysłano po mnie od pp. X., mieszkających o piętro niżej. Ma się rozumieć, naglono o pośpiech. Laicy bowiem uważają wezwanie lekarza i uzdrowienie chorego za pojęcia jednoznaczne. Kiedy np. lekarz, wezwany do umierającego, a raczej do zmarłego na anewryzm serca, stwierdzi po przybyciu już tylko śmierć pacyenta, otaczający napewno rozpaczać będą: „Gdyby lekarz przybył o pięć minut wcześniej, byłby żył może biedak...“ Odpowiedź lekarza: „Tak, rzeczywiście, wezwali mnie Państwo zapóźno; gdyby wcześniej .. nie wiem.. może...“ itd. utwierdza ich w tem przekonaniu. Ogólnie bowiem przyjęta etyka lekarska zaleca takie niewyraźne zachowanie się, zamiast kategorycznej odpowiedzi, że tu i dziesięciu lekarzy nic by nie pomogło.

Idę tedy do pp. X. Oczekiwano mnie tam z niecierpliwością: zachorowała jedyna ich córeczka. Lekki dyfteryt. Chociaż do stwierdzenia tej dyagnozy wystarczało aż nadto obejrzenie gardła, nie chcąc jednak narażać na szwank swej opinii: „starannego i troskliwego“ lekarza, obsłuchałem i opukałem dziewczynkę na wszystkie strony i sposoby, „mama“ tymczasem dawała mi objaśnienia co do początku choroby: Wczoraj była jeszcze zupełnie zdrowa, bawiła się, uczyła, jak zwykle (tu „szanujący“ się lekarz powinien znacząco pokiwać głową: „I ktoby się spodziewał!“) na obiad zjadła to i tamto, później miała jak zwykle, lekcyę muzyki — rokuje wielkie nadzieje w tym zakresie — (nie zdradzam najlżejszych oznak zniecierpliwienia lub znudzenia — zapewni mi to dwa ruble zamiast rubla za wizytę). Wszystko byłoby dobrze, ale, trzeba nieszczęścia, że pod wieczór grał na podwórzu niewidomy skrzypek i Anielcia uparła się sama rzucić mu przez lufcik jałmużnę — takie już ma anielskie serce ta dziecina (tu wykonywam znów wymowny ruch głową: „I że też takie anielskie dziecko zachorowało!“ (Trzyrublowe honoraryum pewne). Widocznie się biedactwo zaziębiło. Nie wdając się w ścisłe rozumowanie, czy zaziębienie lub dyfteryt mogą wejść przez lufcik, pośpieszam się oburzyć: „Ach, jakże można, teraz, w listopadzie i to kiedy mamy w mieście różne choroby, przy tak wątłym, delikatnym organizmie...“ („Wątły“, „delikatny“ są to epitety najmilsze dla ucha matczynego). „Mama“ w dalszym ciągu opowiada, że dała już córeczce... olejku i wieczorem „na poty,“ bo to przecież „nigdy nie zaszkodzi.“ Potakuję ze skwapliwością godną lepszej sprawy. Dowiedziawszy się, że „anielska dziecina“ ma dyfteryt, pp. X. z podziwu wyjść nie mogą: „I skąd się to wzięło? U jednych znajomych chorował wprawdzie na dyfteryt chłopczyk, ale to już było ze dwa miesiące temu, zresztą pp. P. dezynfekowali potem całe mieszkanie „aż“ karbolem, a przez cały czas choroby nie utrzymywaliśmy z nimi żadnych stosunków.“ Przez cały ten czas siedzący we mnie sceptyk szeptał mi złośliwie do ucha: „I co znaczą te wasze wszystkie dezynfekcye, kiedy wy sami, pp. lekarze, jeżdżąc od jednych chorych do drugich, najłacniej przenosić możecie zarazę? Co znaczy „izolacya“ chorego, kiedy bakterye, jeżeli wogóle istnieją, unoszą się, jak twierdzi nauka, nawet w powietrzu?“

Pp. X. są zresztą jak najlepszej myśli, bo przecież teraz, kiedy mamy surowicę, dyfteryt lżejszy czy cięższy to bajki, tak zupełnie, jak gdyby nikt teraz na dyfteryt nie umierał. Usłyszawszy więc, że w danym, jako lekkim wypadku nie widzę potrzeby zastrzykiwania surowicy, nadziwić się nie mogli, dlaczego nie chcę zastosować tego niezawodnego środka. Niestety, nie wiedzą o tem, że ten „niezawodny“ środek pociąga często przy lekkich formach dyfterytu wcale niepożądane komplikacye, że często, jak i dawniej, zdarzają się wypadki śmiertelne... Takie jednak rzeczy etyka lekarska każe pozostawiać pod korcem, w statystykach zaś zamieszczać tylko fakty, dogadzające publiczności, która pragnie wierzyć i wierzy w niemaszka Behringa bez żadnych zastrzeżeń.

Zapisawszy jakąś niewinną miksturę i płukanie i wysłuchawszy jeszcze ze stoicyzmem opowiadania o tem, jak chorowała na dyfteryt cioteczno-stryjeczna siostra pani X., pożegnałem ich nareszcie z najuprzejmiejszym uśmiechem na ustach. Honoraryum otrzymałem przy wyjściu, ma się rozumieć „w rękę,“ jak łapówkę.

. . . .

Po każdej podobnej wizycie długo nie mogę się otrząsnąć z mieszaniny specyalnego jakiegoś niesmaku i dziwnego niezadowolenia z siebie.

. . . .

Pojechałem naprzód na jedną z odległych ulic do młodego chłopca, przedwcześnie gasnącego na suchoty. Jest to jeden z ciekawych dramatów, na które my, le-

Napoleon Rouba.

CHYBIONE SWATY.

I.

Na wzgórzu nad Narwią długim pasem rozsiadła się już od wieków wieś Rozdolna.

Gdyby spojrzeć z góry, to dwa szeregi wiejskich budynków tworzą niejako dolny słup krzyża, którego przecznica rozdzielona na dwa ramiona sięga jednym końcem kościoła i plebanii, a drugim — karczmy i promu na rzece. Murowany dwór z ogrodami i budynkami szeroko rozrzucony w przestrzeni drzew i pól dopełnia całości, jako wierzchołek tego krzyża.

Wszędzie tu widać zamożność i porządek. Budynki są nowe, i prosto stawiane, ludzie schludni i dorodni, bydło tłuste i rosłe—wszystko to jest dziełem tej urodzajnej, czarnej ziemi, tych pasm łąk nadrzecznych, a wreszcie i Narwi, dobroczynnej karmicielki.

Dobrze więc żyje się tu ludziom, i tak żyje się już dawno.

Pomiędzy karczmą i rzeką, przy drodze szerokiej, wiodącej do promu, stała odosobniona, choć nie gorsza od innych, chata wieśniacza. Jej wygląd zewnętrzny uderzał przejezdnych, którzy dziwili się nieraz, że chata się składa jakby z dwu połówek, choć gładko przylepionych do siebie, ale całkiem różnych. A więc jedna połowa dachu była pokryta słomą, a druga gontami, z jednej strony wiodły do chaty zwyczajne drzwi z wysokim progiem, z drugiej był pretensyonalny ganek, jedną połowę wylepiono gliną i pobielono, drugą zaś już z miejska obito deskami i ozdobiono okiennicami przy dwóch małych okienkach. Z obu stron chaty stały również oddzielne dwie obórki z mniejszemi przystawkami.

Bliskość promu zdaje się rzucać światło na tę zagadkę. Tu muszą mieszkać przewoźnicy, lub dzierżawcy.

Nie. Jest to chata własna, nadziałowa, ale mająca dwóch właścicieli, od czasu przyznania tych praw stale wojujące z sobą dwie rodziny, do czego niemało przyczyniła się i ta okoliczność, że obie te rodziny już od lat kilkunastu wyszły z kolei dziedzicznej łącznej pracy na przewozie.

Wszakże i tym waśniom mieszkańcy Rozdolnej przepowiadają blizki już koniec, od czasu kiedy zmarli prawie jednocześnie przed rokiem Józef Przewoźnik z jednej, a Karbowniczka z drugiej połowy chaty,— Józefowa z Karbowym muszą się pobrać i tem samem całą kłótnię nawieki umorzyć, a chacie zapewnić jednego w przyszłości właściciela, ażeby nie było gniewu Bożego i wydziwiania ludzi; — tak postanowił stary organista, a jemu można było wierzyć, gdyż żadne małżeństwo w Rozdolnej od lat czterdziestu nie skojarzyło się bez jego udziału.

Rozumny bo też był ten organista. On zawsze umiał w swoich kombinacyach wyprzedzić najsprytniejsze baby wiejskie i wziąć zainteresowanych pod swoją wyłączną opiekę, aby z nich ciągnąć przez czas jak najdłuższy podarunki i poczęstunki. Tłomaczył się zaś tem, że bliskość pruskiej granicy robiła lud w Rozdolnej mniej pobożnym i ofiarnym, więc on, pokrzywdzony w dochodach przy kościele, musiał szukać odszkodowania na innem polu. Chłopi, a więcej jeszcze dziewczęta i baby, nie przykrzyli tego sobie bynajmniej.

Józefowa, młoda jeszcze i przystojna wdowa z jednym tylko chłopcem, nie była złą partyą, gdyż ludzie mówili, że zmarły Przewoźnik miał duże pieniądze, wszakże Karbowy się jeszcze wahał, usilując ostatecznie wyjaśnić dwa szczegóły: Kto ma być uznany za przyszłego właściciela całej chaty, czy ten chłopak Józefowej, An-

karze, codziennie niemal patrzymy. W danym wypadku fatalne okoliczności zmieniły dramat na prawdziwą nawet tragedyę. Chory ma tylko starą, niedołężną matkę i młodą siostrę. Cały więc ciężar trosk i kłopotów, jakie pociąga zwykle za sobą choroba w domu, dźwigać musi jego siostra, zarabiająca dawaniem lekcyj w dzień, a w nocy przepisywaniem — na lekarza, lekarstwa, kosztowne wina i inne wdatki.

Pacyent mój był dziś niezwykle ożywiony i, jak wszyscy suchotnicy, cały pogrążony w planach i projektach na przyszłość; matka i siostra jakieś zakłopotane. Wytłomaczono mi, że chociaż dla mnie zachowają wdzięczność przez całe życie (biorę za wizyty po pół rubla, na bezpłatne nie zgodzili się), jednak na natarczywe prośby chorego wezwano wczoraj znakomitego doktora [redacted] zalecił niezwłoczny wyjazd za granicę, utrzymując, że chociaż stan chorego jest groźny — silny organizm, łagodny klimat i troskliwa opieka powinny go uratować; zresztą zalecił naradzić się jeszcze w tej kwestyi ze stałym lekarzem (tego wymaga etyka lekarska). O ironio, chory o własnej sile nie może już usiąść na łóżku, nie wiadomo, czy dojechałby nawet do granicy; a gdyby nawet dojechał, gdyby nawet łagodny klimat przedłużył jego cierpienia na kilka tygodni... Ceną za te parę tygodni życia, pełnego cierpień (chociaż i to jeszcze wątpliwe) byłaby śmierć na obczyźnie i tysiące trosk, jakie musieliby ponieść jego najbliżsi. . Tak, wysyłać na Południe chorego, którego dni, godziny niemal są policzone, łudzić nadzieją wyzdrowienia do ostatniej chwili życia, przepisywać do ostatniego tchnienia chorego kosztowne mikstury i proszki, o których wie się naprzód, że nietylko uzdrowienia, ale nawet polepszenia nie przyniosą — oto hasła naszej etyki!

Zaleciłem choremu wstrzymać się z wyjazdem parę tygodni dla nabrania sił jakoby (biedaczysko umrze tymczasem). Ponieważ laicy uważają wizytę lekarza za chybioną i straconą, jeżeli ten nie napisze recepty, i tym więc razem poproszono mnie o zapisanie czego „na apetyt." Przepisałem jakieś krople, kierując się przy ich wyborze tylko taniością, aby przynajmniej haracz aptekarzowi był możliwie najmniejszy.

O, wieczna komedyo! przepisujemy krople „na apetyt," proszki „od bezsenności," mikstury „od kaszlu"; równie dobrze dawalibyśmy krople „na miłość," proszki „od uroku," maść „na odrośnięcie uciętego palca" itd., gdyby tylko chorzy tego chcieli. Laicy wyobrażają sobie medycynę w postaci olbrzymiej księgi z opisami i sposobami leczenia wszystkich chorób; słusznie więc żądają lekarstw „od tyfusu," „od zapalenia płuc" itd., nie przypuszczając nawet, że takie środki nie istnieją, że choroba leczy się sama przez się, a lekarstwa działają, i to nie zawsze, tylko na objawy choroby *). Osłupiałby też zapewne ze zdziwienia każdy niewtajemniczony, wziąwszy do ręki pierwszy lepszy podręcznik terapii. Otwórzmy książkę na chybił-trafił: choroba taka a taka. Opis choroby bardzo szczegółowy; opisano wszelkie symptomy i symptomiki czynią dyagnozę niemal nieomylną, bo, trzeba przyznać, dyagnostyka stoi już niemal na szczycie doskonałości, podczas gdy terapia, jak i przed setkami lat, stąpa w ciemnościach po omacku i dotychczas. Niestety, „poznać się" na chorobie i „leczyć" ją, to dwie rzeczy różne. W szpitalach np. lekarze nie leczą chorych (chociaż opychają ich lekarstwami), lecz przeprowadzają wspaniałe dyagnozy, o których trafności przekonywają się z zadowoleniem na autopsyach, jak mówią przy chorych o ich własnych sekcyach. Na samo leczenie choroby poświęcają zwykle terapii cztery, pięć wierszy tej mniej więcej treści: prof. X. u „kilku" chorych zauważył polepszenie od tego a tego, chociaż w paru wypadkach środek ten wywołał znaczne nawet pogorszenie; prof. Y. mówi, że można stosować to a to; niekiedy bywa skuteczną taka metoda leczenia; można też stosować taki a taki środek itp.

. . . .

Wychodziłem już z bramy, kiedy mnie zatrzymał stróż miejscowy pytając: „Pan konsyliarz?" „Tak, a co to mi powiecie?" „A, to, proszę łaski wielmożnego pana, cosik już drugi dzień niedomagam; prawa ręka tak mnie boli w ramieniu, że nic robić nie mogę." Domyślając się, że to ból z forsownej pracy, pytam, co robił przez ostatnie kilka dni. „A to dużo było lodu do rąbania, a i śnieg trzeba było zmiatać." „Trzeba parę dni odpocząć, niech za was tymczasem zamiata kobieta, to prędko przejdzie." „Ta, dobrze, proszę łaski wielmożnego pana, ale niby recepty pan konsyliarz nie napisze? Jaką by maść albo smarowanie." „Kiedy to od pracy, to i tak przejdzie, tu choroby niema." „Ta, może i prawda, ale przy lekarstwie zawsze prędzej przejdzie." I tego korci, żeby parę złotych zanieść do apteki; zapisuję więc pierwszą lepszą maść, zalecając, że trzeba przy niej położyć się do łóżka, bo inaczej zaszkodzi...

. . . .

Później wizyta u anemicznej panienki. Przepisałem żelazo. „To herbaty teraz córka moja pić nie będzie mogła?" —niezmienne w takich razach pytanie. Tłomaczę, że żelazo i herbata bynajmniej nie są antagonistami i że chora pić ją może, jeżeli tylko zechce, ale byłoby o wiele lepiej, gdyby piła mleko lub kakao, jako pożywniejsze. Wymowa moja, jak zwykle w takich wypadkach, i tym razem chybiła. „A lekarze zawsze zabraniają pić herbaty przy żelazie" — zauważyła nieprzekonana pani. Jakże tu powiedzieć, że to jedno z tych tysiącznych kłamstewek, które lekarze popełniają codziennie? Laicy zawsze będą zdania, że dyeta stosuje się nie do choroby, lecz do lekarstwa: przy katarze żołądka np. gotowi jeść bodaj kapustę i ogórki, ale przy wodzie karlsbadzkiej zachowają jak najściślejszą dyetę, pomni przykazania lekarza, że „przy wodzie" tej pod karą śmierci nie można jeść surowizn. Sami pacyenci więc zmuszają nas niejako do popełniania tych kłamstewek.

. . . .

Następna wizyta. Elegancka dama najwidoczniej... przejadła się. Czy można to jednak powiedzieć bezkarnie? (Straciłbym przynajmniej połowę swych pacyentek). Przejeść się — toż to *mauvais ton*, to dobre dla służby. Zaczyna się indagacya. „Co łaskawa pani wczoraj jadła?" Chwila namysłu. „Na obiad zupę rakową, pasztet ze zwierzyny, „un peu de legume," kurczę pieczone, „un tout petit morceau — vous comprenez," jakąś galaretkę; na kolacyę majonez z ryb... „c'est ça," nic innego, tylko majonez mi zaszkodził..." Skwapliwie chwytam sposobność upozorowania choroby. „Jadła pani majonez i to na noc, przy tak delikatnem zdrowiu; nie, to nie do darowania!"

Kiedy już miałem wychodzić, pani przypomniała sobie, że Marysia, pokojówka, już dawno narzeka na palec. Palec niemo-

*) Choremu po przyjęciu lekarstwa polepszyło się, więc polepszyło się „od lekarstwa"— rozumują laicy, nie przypuszczając, że stan jego polepszyłby się i bez lekarstwa: *post hoc, ergo propter hoc.*

---

tek, czy ten domniemany potomek mającej się się skojarzyć pary, a po drugie, ile to tam prawdziwie jest tych pieniędzy.

Ale wdowa nie była głupia i umiała wykręcać się sianem. Obie strony były z siebie bardzo zadowolone, choć nie domyślały się, że niemi kieruje jeden i ten sam spryt starego organisty.

W sobotę pięknego dnia letniego Józefowa była od rana jakby w gorączce. To wybiegała przed chatę, spoglądając ku rzece i na słońce, to wracała nazad: robota paliła się jej w ręku, ale niecierpliwość ją brała okrutna. Organista właśnie wczoraj powiedział, że należałoby już ostatecznie się porozumieć i dać na zapowiedzi, bo ksiądz proboszcz niezwykł dawać ślubu w czasie żniwa i siewu. Jeśli przepuszczą jeszcze jedną niedzielę — to czekajże, biedna wdowo, aż do jesieni.

Od śmierci żony Karbownik stołuje się u niej; chytry chłop daje jej tylko połowę ordynaryi, a drugą sprzedaje karczmarzowi. Zaledwie zdołała go uprosić, aby na południe przychodził do chaty; zawsze coś niecoś z dworskich zapasów można przynieść w kieszeniach, lub w cholewach butów.

Karmiła go też jak wieprza na zabicie tłusto, słono i mleczno. Od miesiąca nie sprzedała ani osełki masła od dwu krów własnych, ani dziesiątka jaj od piętnastu kur, które dobrze się najadają, grzebiąc w stajni karczmiska i przed zajazdem.

Obiad już gotów, więc Józefowa wybiega jeszcze raz przed chatę i, przesłaniając oczy dłonią od słońca, sięga wzrokiem po drodze ku dworowi i bacznie nasłuchuje.

Doleciał jej uszu głos dzwonka, obwieszczający południe, a w kilka minut później ujrzała Karbownika, idącego bruzdami wprost przez ogrody.

Nie dojrzała jednak swego chłopca, który chodził na najem do dworu, lecz to jej nie zaniepokoiło, gdyż Antek często się pożywił we dworze przy ogrodniku, a do domu wracał dopiero wieczorem i zjadał odrazu kolacyę i obiad.

Karbowy, to chłop przystojny, o sumiastym wąsie i żołnierskiej postawie, a chodzi sobie z kijkiem, jakby organista albo i sam proboszcz.

— Dajcie jeść, a prędko! — woła już zdala

Józefowa nie idzie do chaty, jeno go pieści oczyma.

— Czemuż mi się tak przyglądacie?

— Bo nie mam patrzeć na kogo, jeno na was; gdzież chłopiec?

Karbowy żachnął się niecierpliwie.

— A gdzież, jak nie we dworze? Skaranie boskie z tym chłopakiem! Dałem go dziś do ogrodu, jako do lżejszej roboty, a ten ci zbytnik coś tam zmalował, pono ulubionego psa panienki zabił, więc go zatrzymali i nie puścili.

— Mój Boże, mój Boże! co ja też za biedę mam z tym chłopakiem, a tu znikąd pomocy i oparcia — biadała wdowa, spozierając ukradkiem na karbowego.

— Trudnoż o to oparcie i opiekę, kiedy macie takiego urwisa — odparł ten nader obojętnie, spiesząc do chaty i misy.

Barszcz z ziemniakami dobrze okraszonymi smakował mu, kasza jęczmienna z mlekiem do reszty go wypogodziła, więc rzucił słowo znękanej towarzyszce.

— Nie frasujcie się jeno, aby starania i ręki przyłożyć, będzie z niego człowiek.

— Oj te! dobrze mówicie, aleście nie skorzy do działania, trzeba go było tam zaraz na miejscu skarcić ojcowską ręką — powiedziała z naciskiem.

— Toby nie zaszkodziło, bo to rzecz pewna, że z tego i wam przyjdzie jaka bieda, a i mnie wstyd niemały.

— Zbiję go też, zbiję! — dodała Józefowa, biorąc się do barszczu.

— Aby tylko wam tej łąki przy promie nie odebrali.

— O Boże ty mój, Boże! — jęknęła wdowa.

— Mówcież i radźcie! — prosiła po chwili.

— Tu niema co radzić, trzeba dworowi dać zadowolenie i kwita: niech chłopak zostanie przykładnie ukarany, a ja wtedy

żliwie zapuszczony, potwornie spuchnięty, zaogniony. Pozostał w nim ułamany koniec igły. Proszono mię, ma się rozumieć, o maść. Gdy jednak wytłomaczyłem konieczność wyjęcia z palca obcego ciała, igły, służąca zaczęła się wahać. Pani kategorycznie przecięła kwestyę (szło tu tylko o służącą): „Widocznie tak potrzeba, kiedy pan doktór mówi.“ Kazałem więc przyjść do siebie dziewczynie w godzinach popołudniowych. Tym razem moja sztuka rzeczywiście na coś się przyda. Co za miłe uczucie!..

. . . .

Nareszcie ostatnia wizyta. Bieda wygląda z każdego kąta. Chory jest widocznie ojcem rodziny. Ma ciężki tyfus brzuszny, bardzo silną gorączkę. Na gwałt trzeba podtrzymywać ubywające siły. Zaleciwszy więc dawać co godzinę po łyżce starego wina, zabierałem się już do wyjścia. Zatrzymano mię ze zdziwieniem: „A lekarstwa pan nie zapisze?“ „Tu wino jest najlepszem lekarstwem“ — odpowiedziałem. „E, my tam na takie zbytki nie mamy środków; na lekarstwo to się znaleźć musi — to co innego, ale na wino...“ Musiałem więc zapisać jakieś krople, każąc je przyjmować koniecznie na winie.

. . . .

Po południu przyjęcia w domu nie różnią się swą treścią od wizyt na mieście.

. . . .

I to jest szczytny zawód lekarza, wzniosły zawód niesienia ulgi cierpiącym!..

Sceptyk.

Wystawa wychowawcza w Paryżu.

(Dokończenie).

Dział opieki moralnej i prawnej nad dziatwą sprawia przygnębiające wrażenie; każdemu, kto szczerze kocha dzieci, trudno chyba oswoić się z myślą, że bywają one stawiane przed sąd z całym aparatem, obmyślanym dla wstrząśnienia najmniej wrażliwych nerwów, że bywają badane w sposób urzędowy, zimny, upokarzający, a wreszcie skazywane na więzienie lub pobyt w kolonii poprawczej, skąd wychodzą jako ludzie napiętnowani na całe życie i zdemoralizowani z jednej strony obcowaniem ze złymi, a z drugiej — surowem, wrogiem postępowaniem zwierzchników. Przed oczyma naszemi przewijają się tu wszystkie t. zw. instytucye poprawcze — rządowe i prywatne kolonie rolnicze i przemysłowe. Obok planów graficznych i *en relief* każdego zakładu, są tu tablice statystyczne, liczne fotografie, jako też wyroby uczniów, ich kajety i rysunki, wreszcie wykazy dyplomów i medali, otrzymanych na konkursach publicznych. Francya liczy ogółem 9 rządowych kolonij poprawczych (z tych 1 dla dziewcząt, i 20 prywatnych (7 dla dziewcząt). Pocieszającem jest zapewnienie zarządu, że w ciągu kilku lat ostatnich dokonano wielu reform, mających na celu zmniejszenie surowości, złagodzenie kar, a natomiast większą pieczołowitość moralną; z tego powodu liczbę nauczycieli potrojono, gdyż powierzono im miejsca, zajmowane dawniej przez zwykłych dozorców więziennych.

Nie od rzeczy będzie tu przypomnieć, że ostatni kongres kobiecy w Paryżu postawił między innemi żądanie, aby zakłady poprawcze nie podlegały zarządowi ogólnemu więzień, lecz zależały wyłącznie od ministerym oświaty, mającego przekształcić instytucye karne na wychowawcze.

Z pomiędzy prywatnych kolonij poprawczych największą sławą cieszy się kolonia w Mettray, posiadająca jeden oddział dla chłopców rodzin zamożnych. Oddział ten nosi nazwę „Domu rodzicielskiego“ i przygotowywa do egzaminów na świadectwo dojrzałości. Ogólna liczba pensyonarzy dochodzi w nim do 450, z tych 250 zajmuje się wyłącznie rolnictwem, reszta zaś rozprasza się w pracowniach zakładu, ucząc się różnych rzemiosł i wykonywając wszelkie roboty, potrzebne w obrębie kolonii.

Do „opieki moralnej“ należą również licznie reprezentowane instytucye, mające na celu umoralnienie młodzieży szkolnej i rzemieślniczej, zabezpieczenie jej od złych wpływów i nieodpowiedniego towarzystwa. W tym celu jest ona zgromadzaną w niedzielę i dni świąteczne, ażeby spędzić czas w sposób pożyteczny i przyjemny. Chłopcy używają na gimnastyce, fechtunku i pływaniu, dziewczęta śpiewają, szyją, bawią się w gry, po za tem zaś odbywa się zawsze jakaś zajmująca lekcya, ilustrowana obrazami niknącymi, czytanie głośne, oraz wspólna pogawędka. Większość tych *patronage*'ów pozostaje, niestety, w rękach kongregacyj. Zasługują wreszcie na wspomnienie stowarzyszenia, mające na celu opiekę i umoralnienie małoletnich, którzy okazali byli skłonność do złego, zdołali jednak uniknąć kary, albo też tych, którym z powodu braku należytej opieki rodzicielskiej, prędzej czy później grozi znalezienie się na ławie oskarżonych.

Pozostałe dwa działy wystawy — sztuki piękne i muzeum—stanowią główną przynętę dla publiczności i rzeczywiście najmniej zasługują na zarzuty. Prezes działu sztuk pięknych Cain, dyrektor Muzeum Carnavalet, potrafił zgromadzić imponującą ilość arcydzieł. Już na samym wstępie do sali doznaje się dziwnie miłego wrażenia; zewsząd wyglądają główki dziecinne, jedne wesołe, figlarne, inne smutne, poważne, ale zawsze owiane czarem, właściwym tylko dziecku. Z większych płócien zatrzymuje uwagę widza Geoffroy, niezrównany w oddawaniu całej różnorodności typów dziecięcych, zwłaszcza dzieci biednych. Przez czas długi pracownia jego mieściła się w głębi dziedzińca szkolnego na przedmieściu Paryża; przy stalugach słyszał krzyki, śmiechy dziatwy, przyglądał się jej, żył jej życiem, wnikał w jej zmartwienia i uciechy, to też przeniósł je żywcem na płótno. Jego „Szkoła wiejska w Bretanii,“ „Ochrona,“ „Sala szpitalna,“ uderzają swą prawdą życiową. A dalej co za wdzięczny szereg główek dziecięcych pierwszorzędnych mistrzów, jak Greuze, Nattier, Fragonard, Reynolds, Hals, Laurence, Gainsborough, Boldini, Munkaczy, Morot, Renouard, Bouguereau, Carolus Duran, Millet, Bonnat, Ingres, Degas Tenré, Daumier itd. Zdaje się, że niemal każdy artysta kusił się o odtworzenie dziecka, pomimo nieuniknionych trudności pozowania i uchwycenia podobieństwa z powodu ruchliwości i zmienności twarzy dziecięcych.

Osobną salę zajmują portrety znakomitości. Tu trzeba się uzbroić w cierpliwość, chcąc się doczekać swej kolei, tłoczą się bowiem wszyscy, patrząc z zaciekawieniem, jak wyglądali Edward VII lub zmarła królowa Wiktorya w czwartym roku życia, Wiktor Emanuel w szóstym miesiącu, chcąc zobaczyć czternastoletniego Coquelin'a, dwunastoletniego Saint-Saënsa, siedmioletniego Zolę, szesnastoletniego Beethovena, Sarę Bernhardt w dwunastym roku, Brunetière'a w czwartym i niezliczoną moc innych znanych osobistości, deputowanych, senatorów, artystów i literatów. Każdy stara się w tych dziecinnych portretach dojrzeć dodatnie lub ujemne

---

rozpowiem o tem we dworze i będzie spokój.

— No! niech jeno przyjdzie na kolacyę! — groziła już uspokojona matka, śląc nieobecnemu dziecku kilka klątew i połajań.

— Co tam wasze bicie! tyle siły macie, aby wronę spędzić z płota! — żartował wesoło karbowy.

— Nie urągalibyście nade mną, sierotą, a lepiej pomogli po chrześciańsku! — krzyknęła nadąsana.

— Co się mam napróżno zmagać z chłopcem, który już za parobka o mało nie stanie, choć ma lat jedenaście dopiero.

— Takiegom go wykarmiła! — podchwyciła matka z chlubą w głosie.

— Aby jeno nie na krzywdę sobie i komu innemu, jeśli o kim myślicie — dyplomatycznie dorzucił karbowy.

— Cóż z mojego myślenia, kiedy czas uchodzi i żniwa za pasem?

Karbowy pomyślał chwilę i wreszcie odrzekł poważnie:

— Niechże tej łąki dwór wam nie odbierze i wasze będzie całe weselisko, to i pójdziemy dziś chłodkiem do proboszcza dać na zapowiedzi.

Wdowa pokraśniała z radości i skoczyła raźnie do komory, skąd wróciła za chwilę z miską twarogu.

— Zjedzcie sobie jeszcze trochę, a ja skoczę do Lejby po piwo!

Nie bawiła długo i wróciła zdyszana. Przy piwie karbowy się rozczulił niezwykle. Parę razy ją uszczypnął mocno i boleśnie, aż krzyknęła głośno, ale nie uciekła, potem wodził jej po twarzy i szyi palcem umaczanym w piwie.

— Pomaluję cię, będziesz piękniejsza, to mi ludzie zazdrościć będą.

Wdowa rozpływała się z rozkoszy.

Nielitościwy dzwonek przerwał miłe sam na sam; karbowy chwycił czapkę, kijek i posunął się ku drzwiom, wlokąc za sobą kobietę, którą w przejściu chwycił garścią za fałdy spódnicy. Zmagali się chwilę we drzwiach, przyczem on chwytał rękami, gdzie tylko dosięgnął, a ona się broniła, aż w końcu zawisła mu ramionami na szyi.

— Puszczajcież, bo pilno! — powiedział, odpychając ją, aż zatoczyła się na środek chaty.

Ona jaśniała radością, choć chustka spadła z głowy, sznurki spódnicy pękły, a w nodze, przydeptanej podkutym obcasem, czuła ból dotkliwy.

Ze zdwojoną energią i pośpiechem przystąpiła do załatwienia codziennych czynności: pomyła naczynia, zamiotła chatę, usiekała chwast zebrany na ogrodach swoim i karbowego, zlała pomyjami, a wreszcie z wielką płachtą płócienną wybiegła na ową łąkę dworską nad Narwią i nażęła sierpem trawy obficiej, niż zwykle. Myśl o łące dręczyła ją najbardziej, chwilami więc przypominała sobie Antka, na którego skórze trzeba było dać zadowolenie dworowi.

Łąkę tę, trzymaną od dworu nad odrobek, po śmierci męża miała sobie puszczoną bezpłatnie od dziedziczki, która użaliła się nad jej smutnym, wdowim stanem. Było tego ze dwie morgi trawy niezłej, którą atoli mogła ustrzedz od zniszczenia tylko ciągła baczność mieszkańców przewoźniczej chaty, gdyż przy tej łące zatrzymywały się liczne tratwy i nieraz oryle tu nocowali, rozniecając ogniska dla warzenia strawy.

Skończywszy robotę, Józefowa ogarnęła się schludnie, od wypadku zawiązała w róg chustki trochę drobnych pieniędzy i, chowając pod pachę jedną ze starych, mało już niosnych kokoszy, ruszyła do organisty. W myśli kombinowała jeno, czy ta ofiara kokoszy będzie wystarczająca, gdyż musiała poradzić się w sprawie owego zadowolenia dla dworu i zawiadomić organistę o ostatecznem postanowieniu swojem z karbowym.

— Świnia mi się niezadługo oprosi, to dam mu ze dwa prosiaki.

Organista przyjął ją z należytą powagą i odrazu postanowił:

strony, charakteryzujące ich w wieku dojrzałym.

Najciekawszem jednak niewątpliwie jest muzeum dziecinne, przenoszące nas w przeszłość odległą. Od samego wejścia uderza nas widok olbrzymich rozmiarów szopki neapolitańskiej, wykonanej w XVIII wieku dla Karola III. Podobno istnieją na świecie tylko dwie takie szopki: jedna w muzeum San Martino w Neapolu, druga—stanowi *clou* Wystawy wychowawczej. Na przestrzeni 10 metrów długości a 5 wysokości mieści się 300 figurek wysokich na 25 centymetrów i 200 zwierząt, prócz tego ruiny, skały, akwadukt i szereg domów. Mamy przed sobą i znakomicie odtworzoną stronicę Ewangelii na tle zakątka starych Włoch. Wszystkie postacie rzeźbione artystycznie z drzewa, z doskonałem zachowaniem stosunku i różnorodności typów, jako też wyrazów twarzy, budzą prawdziwe zdumienie. Odzież wykończona z drobiazgową ścisłością; broń i instrumenty muzyczne wysadzano są prawdziwymi kamieniami, naczynia, w których królowie podają swe dary — cyzelowane są ze srebra, prawdziwe perły, rubiny, dyamenty zdobią królów i dworaków, słowem każdy dodatek, to klejnot muzealny, który wartoby zamknąć w oddzielnem pudełku i za witryną schować. Szopka ta jest dziełem najpierwszych artystów owej epoki: Gori celował w odtwarzaniu postaci możnych tego świata, Sammartino—typów ludowych, Mattheo był specyalistą w ubieraniu figurek, nie zapominał o najdrobniejszym szczególe. Nawet maluchne naczynia gliniane na stołach oberży, wykonane są przez odpowiednich artystów, nawet fartuchy wieśniaczek są haftowane pracowicie, czapki, obuwie, wstążki, koronki, jedwabie, klejnoty — o niczem nie zapomniano.

Ściany muzeum dziecięcego są ozdobione gobelinami starożytnemi, przedstawiającemi sceny z życia dzieci. Wiele miejsca zajmują przedmioty, które należały do Ludwika XVII, przechowane z pietyzmem w zbiorach księdza Misseta; jego zabawki, kajety, bruliony listów i części ubrania. Ciekawsze jednak są zbiory przedmiotów, nie przywiązanych do osób, jak np. zbiór różnych naczyń, służących do karmienia niemowląt, kolekcya czepeczków chrzestnych, stare zabawki, w których po raz pierwszy zużytkowano mechanizm zegarowy, serwisy porcelanowe, lalki z różnych epok, mebelki dla lalek, kolekcya złożona z 10,000 żołnierzy ołowianych, przedstawiających wszystkie epoki historyczne, kilkaset różnych świstawek itp. Liczny bardzo jest również zbiór maryonetek.

Dalej zwraca uwagę kolekcya obrazków dla dzieci; pochodzą one z Medyolanu, Monachium, Stuttgartu, Metzu, Madrytu i Epinal. Przedstawiają bądź żołnierzy, bądź różne typy; to znów ilustrują pewne epoki historyczne lub bajki. Pomiędzy żołnierzami odnaleźliśmy nawet wojsko polskie. Oryginalne w swoim rodzaju są karykatury Gavarni'ego z cyklu „enfants terribles,“ zebrane pracowicie z *Figaro*, *Charivari* i *Caricature*.

Do historyi pedagogiki mamy tu sporo dawnych książek szkolnych, odznaczających się długimi tytułami i smutnym wyglądem zewnętrznym. Pewien nauczyciel przedstawił wzory kaligraficzne od r. 1729. Niemało też przechowano gier pouczających z XVIII w., z owej epoki, gdy pedagodzy sądzili, że można naukę zastąpić zabawą; jest więc gramatyka w wodewilach, gramatyka w obrazkach, gramatyka upostaciowana w żołnierzach, karty z Historyą świętą, mitologią lub historyą pojedyńczego kraju, gra w gąskę geograficzną itp.

Bogatym jest zbiór rycin, odtwarzających sceny z życia szkolnego od czasów starożytnych aż do dzisiejszych; dają one doskonały obraz postępu, dokonanego w sferze wychowania i wykształcenia, odzwierciadlają bowiem doskonale charakter szkolnictwa w rozmaitych epokach i różnych krajach.

Z żalem myśli się o tem, że za dni kilka wszystkie te cenne zbiory rozproszą się znowu, by powrócić do rąk swych właścicieli, zamiast służyć ku pożytkowi ogólnemu.

Dodać wreszcie należy, że organizatorowie wystawy dostarczają zwiedzającej publiczności wszelkich innych rozrywek: co drugi dzień są urządzane ciekawe odczyty, poruszające wszelkie sprawy, z zakresu wychowania dziecka; prócz tego dawane są koncerty z wyłącznym udziałem dzieci, a dalej teatr maryonetek, pantomimy, popisy gimnastyczne i wreszcie konkursy rysunkowe, modelowania z gliny, robót freblowskich, w których bierze udział po kilkaset dzieci od 3—12 lat.

Całkowity dochód z tej wystawy wzbogaci kasy kilku stowarzyszeń, opiekujących się losem nieszczęśliwej dziatwy.

Iza Zielińska.

FEJLETON.

Z CZASU.

Kataryniarze.

Będąc dzieckiem, trzymałem się stałe klasyfikacyi katarynek na zwyczajne i nadzwyczajne. Te ostatnie posiadały u dołu szufladę z drukowanemi wróżbami i klatkę, w której rzucał się niecierpliwie jakiś ptaszek. Opinia służących, o ile sobie przypominam, wypowiadała się bezwzględnie za katarynkami nadzwyczajnemi. Ja uczuwałem na ich widok obawę. Miała ona swe źródło w uczoności ptaka, który wydziobywał z przenośnej biblioteki idyotyzmów — jeden, mający własności proroczе. Nogi podemną drżały, gdy ptaszek z wszelkiemi cechami namysłu dawał nurka w głupotę ludzką. Spotykałem później kataryniki z myszami, królikami, świnkami morskiemi, małpkami, ale nie wiem, czy i te zwierzęta pełniły obowiązki sekretarzy przenośnego biura proroctw ulicznych.

Dla ścisłości w oddaniu moich wrażeń młodzieńczych dodać muszę, że z tajemniczością katarynki nadzwyczaj licowała zawsze twarz i cała postać kataryniarza. Zwłaszcza twarz. Dziś rozumiem, że była w niej przewaga sprytu, że bez „szminki“ i przyprawionych włosów, po całych latach nieudanych „prób“ życiowych kataryniarz „zrobił się“ tajemniczym. Gdy zdaleka (nie śmiałem nigdy bliżej przystąpić) obserwowałem sztuczną obojętność kataryniarza na sypiące się dziesiątki, odczuwałem w postaci jego pewnego rodzaju drapieżną grzeczność. Dziś mam ochotę powiedzieć, że, jeżeli powodzenie takich indywiduów nie ginie od drwin i nieszczerego śmiechu służących, którym ptaszek wyciągnął „złamanie nogi“ lub, co gorsza, staropanieństwo dożywotnie, jest w tem czwarty wymiar stosunków ludzkich: wytresowano ptaka, żeby z jednej strony uprawniał chęć zarobku, z drugiej — usprawiedliwiał ciekawość i przesąd.

W publicystyce naszej od czasu do czasu występują kataryniarze nadzwyczajni.

— Zerznąć dudy chłopakowi, jak się należy, a z karbowym nie zwlekać, jeno dziś sprawić zapoiny, a jutro ranitko dać proboszczowi na zapowiedzi.

— My zaś uradziliśmy dziś jeszcze iść do proboszcza — nieśmiało wtrąciła Józefowa.

— To na nic: koło chłopaka trzeba będzie zmarudzić, a potem odbyć po ludzku same zapoiny, żeby ludzie nie wydziwiali i sprawa była porządnie załatwiona.

Trudno było się spierać z organistą, który trzymał w ręku kokosz i podejrzliwie ją obmacywał obu rękami.

— Jakąś staruszkę mi tu przynieśliście! — wydziwiał przytem z niezadowoleniem.

Należało go zagadać. Więc wdowa jęła utyskiwać na swą dolę sierocą, wspomniała o świni i prosiątkach, a wreszcie prosiła, aby przyszedł do niej wieczorem i wespół z sołtysem asystował przy zapoinach.

— Jeno aby po ludzku to było!—upominał ją na odchodnem dygnitarz.

Zrozumiała to wnet, że trzeba będzie na poczęstunek kupić choć z pół garnca wódki, piwa, usmażyć jajecznicę i poświęcić ostatnie dwa kółka wielkanocnej jeszcze kiełbasy.

Pobiegła do dworu. Dziedziczka była sama wdową, to ją bardzo ośmielało. Posłano ją do ogrodu, gdzie pani siedziała w cienistej altanie, oddana gorliwie jakiejś drobnej robótce.

Po należnem ucałowaniu rąk i kolan jaśnie pani, Józefowa z płaczem rozpoczęła swoje żale:

— Niech już jaśnie pani daruje temu smarkaczowi i mnie, biednej wdowie! Co ja mam biedy z tym chłopcem! pracuję od rana do nocy i zaledwie go zdołam przekarmić, taki jest obżarty, a robi to różnie: raz i za dobrego parobka stanie, a drugi—toby całymi dniami leżał nad rzeką i rzucał kamieniami bez potrzeby.

— Alež, moja Józefowo, któż do was ma jakie pretensye? Prawda, że chłopiec zdusił psa mojej córki, ale to był wypadek, który na szczęście niedrogo chłopca kosztował. Bądźcie spokojni, już my mu to skaleczenie zagoimy.

Dziedziczka naturalnie przypuszczała, że matka już widziała dziecko i bolała nad jego okaleczeniem, ale Józefowa myślała wtedy o łące jedynie i tę łagodność pani całkiem inaczej zrozumiała.

— Chytra jest! udaje dobroć, a myśli o tem, aby skorzystać z okazyi i łąkę odebrać jeszcze przed drugim pokosem — pomyślała sobie.

— Już ja go w domu ukarzę i jak jeszcze, aby wiedział zbytnik, jak się zachować przy panach we dworze! — dodała żałośnie.

Dziedziczka uśmiechnęła się łagodnie i odrzekła:

— Dajcież mu pokój, moja Józefowo, i nie straszcie napróżno, bo on tu nic nie winien. Chłopiec jest pracowity, rośnie dziwnie prędko i już wkrótce będzie wam opiekunem i pomocą.

Te słowa wydały się Józefowej pełne groźby na przyszłość co do tej łąki daremnie puszczonej, więc postanowiła jeszcze mocniej zbić Antka wieczorem, żegnając łagodną panią.

Zrazu chciała dopaść do niego, ale spieszno jej było jeszcze do sołtysa, aby go zaprosić na wieczór jako swata, i do chaty dla przygotowania kolacyi.

Antek zaś siedział sobie z przewiązaną nogą w ogrodzie, przy inspektach, i z polecenia ogrodnika odpędzał stada wróbli, napastujące świeżo obsiane skrzynie, rzucając w nie grudkami ziemi i patykami.

Wypadek, który go spotkał, był dość ciekawy.

(C. d. n.).

Są to umysły, którym kręcenie korbą nie wystarcza. Poprostu nie ufają własnej ręce i dopomagają sobie — ptaszkami. Mają oni w szufladach materyał, a w klatkach wydziobywaczy prawd dziennikarskich. Są tam bankierzy i przemysłowcy, odwiedzający od czasu do czasu redakcyę, są wybitni lekarze, zasypujący „nas" listami, są damy zanoszące skargi i wynurzający się przyjaciele...

Wszystko, czego kataryniarz nie chce, nie śmie, lub nie umie powiedzieć we własnem imieniu, wkłada w czyjeś usta pomocnicze.

Przypuśćmy, że chce on rozstrzygnąć kwestyę emigracyi. Zwykle w takich razach ochota ma się w stosunku odwrotnym do wiedzy. Z umysłem wolnym od balastu naukowych wątpliwości publicysta postanawia zganić bezwzględnie, zdaniem jego, niebezpieczny ruch emigracyjny. Przerzuca pisma, zagląda najskrupulatniej do tych, które kataryniarzy nie wynajmują. W tych organach znajduje ochoczy dziennikarz fakty, usprawiedliwiające emigracyę. Odkrycie to onieśmiela go trochę, ale nie wytrąca pióra z ręki. Onieśmielenie wpłynie tylko na sposób oświetlenia sprawy. Nastawia katarynkę na numer: emigracya a obywatelstwo, i — czytamy, co następuje:

— Któregoś dnia siedzę sobie w redakcyi spracowany i zmęczony odczytywaniem słusznych i niesłusznych obelg i skarg, które spływają na nas w listach, gdy wtem — dolatuje mnie ze schodów hałas: „Jest redaktor?" — ryczy ktoś. „Jest" — brzmi pokorna odpowiedź chłopca redakcyjnego. „Gdzie jest?" — woła ktoś ochryple i wpada do mego pokoju ogromna bestya z wąsami, jak rogale, z policzkami, jak nierozłączne rodziny pomidorów, i krzyczy: „Co wy robicie, bazgracze? Co wygadujecie, Boga z serca wypędziwszy? Co wy nam nauką ekonomii głowy zawracacie? Łatwo wam regestrować objaśniać i motywować emigracyę, ale co ja w żniwa robić będę?" — Tyle rozszalały szlagon (wszystko to się pisze). Z naszej strony dodać musimy, że nauka nauką, a szlagon ma także trochę racyi.

Wszystkie sprawy, które w uczciwem rozumieniu dadzą się „próbować" jedynie brylantami łez, w niektórych organach prasy warszawskiej znajdują łatwe i pogodne rozwiązanie. W chwili, gdy trzeba wyrok zredagować, przychodzi znany i ze wszech miar godny szacunku przemysłowiec i robi następujące wyznanie:

— Proszę panów, dlaczego wy sobie włosy wydzieracie? Po co tyle krzyku? Zwłaszcza na co te narzekania na rynki zagraniczne, na stosunki itd.? My sami jesteśmy winni wszystkiemu. Ja panu to mówię, a ja te sprawy znam na wylot. Nasz fabrykant nie umie produkować. Dlaczego? Bo nie umie! Nie wiem, czy on jeszcze nie umie, czy nigdy umieć nie będzie, tego nie wiem, ale dziś on nie umie. A robotnik? Nie umie pracować. Ale robotnik prócz tego pracować nie chce. Rozumie pan? Poprostu, upija się, gra w totalizatora, w winta (jak Boga kocham!), a pracować nie chce. Więc po co ten krzyk? Po takiem nawiedzeniu przez własną głupotę, kataryniarz zamyka usłużnego ptaszka do klatki i, zdejmując czapkę, mówi z powagą ojca narodu:

— Oczywiście, nasz przemysłowiec mało umie i nie wszystko pojmuje, ale dlaczego nie mamy udzielać głosu i takim oryginałom?

Tak, tak, zwłaszcza gdy trzeba „wygrać" parę rubli...

Kataryniarze mają nieraz najszersze pomysły, dotyczące poglądów na całe społeczeństwo. Niekiedy ogarnia ich pragnienie wypowiedzenia jakiejś prawdy, która pogodziłaby wszystkie niesnaski społeczne, zapewniła szczęście i spokój powszechny. Wybiera sobie w tym celu medyum ze sfery rozpróżniaczonych rentierów, podupadłych, goniących ostatkami i z tego tytułu filozofujących panków itd. Lecz wstęp do tych mistrzów tak nieraz trudny. Ileż to razy „niema pana w domu," gdy się go widzi w lustrze, lub przez uchylone drzwi. Jest i na to sposób. Korzysta się z najpierwszej sposobności, z grymaśnego objawu dobrego humoru i łaski, a już kataryniarska głowa w tem, żeby nuty zbierane na klęczkach wygrać z fotelu, z całą powagą człowieka, obdarzonego zaufaniem najpotężniejszych. Oto przykład:

Do gabinetu Petroniusza warszawskiego wśliźguje się istota, która ze sposobu zajmowania krzesła przypomina niektóre cechy człowiecze, i mówi cichym głosem:

— Ach, zbyt na mnie łaskawy panie, tak, zbyt łaskawy, chociaż nie mógłbym się tak nazwać wobec ciemnego tłumu, jak tu u zbyt łaskawego pana pięknie, jak tu bezpiecznie ciału, w którem dusza odczuwa sztukę!..

— A czy wiesz pan — brzmi powyżej kołnierza aksamitnego szlafroka matowa, cicha odpowiedź — co wytwarza taką atmosferę?

— Co, że się tak ośmielę wyrazić, co?

— Tolerancya, rozumiesz pan, tolerancya, która polega nie na przebaczaniu, bo i przebaczanie jest już czemś w rodzaju walki, będąc jakby jej końcem, lecz na zupełnej obojętności, ale nie na sztucznej, z obrazą w duszy, bo i obraza walką trąci... tolerancya zdrowa, taka, jak ja ją pojmuję, polega na wszechkontemplacyi...

— Ach, jakie to nadludzkie, jakie, że się tak ..

— W tym gabinecie masz pan wszystko. Łóżko wygodne, prawda? Przybory do mycia i czesania, cały stół, prawda? Rośliny, prawda? Dywan, kupiony po Napoleonie, dywan, który całą podłogę zaściela, sięgając pod wszystkie sprzęty, pod łóżko nawet?...

Tu gość pada na kolana i sprawdza rękami miękkość, a oczami rozciągłość dywanu...

— Prawda, jest wszystko, szepce, klęcząc, a pożegnany łaskawem kiwnięciem głowy, zrywa się zręcznie, by Petroniusza opuścić...

Na drugi dzień czytamy w pismach:

— I oni, ci możni, nachodzą nas w redakcyi. Wczoraj gumowe obręcze przykołysały mi jednego, który, przeprosiwszy mnie w tysiączny sposób za skradziony czas, gawędził ze mną o sztuce. Gdyby szanowny pan redaktor, rzecze, był tak łaskaw odwiedzić mnie w mojej norze, dowiódłbym szanownemu panu, że tylko czysta sztuka daje spokój i szczęście. A polega, mówi dalej, na tem, żeby nie przejmować się jakąś jedną ideą, lecz wszystko ogarniać — nawet głupotę ludzką. Wszechkontemplacya (?!) to stan przyszłości (?!) rzekł, gdy nieco znudzony wstałem, by go pożegnać.. No i cóż robić z takim? Czyżby nie warto było zajrzeć do tej nory, może tam jest co ciekawego...

Czy nie spotykamy w pismach warszawskich w ten sposób budowanych artykułów? Bardzo często wyrzucenie z przedpokoju znaczy: wizyta w redakcyi. Nieraz oczywisty nonsens znajdzie tu obrońców. Oto przykład jaskrawy. Kataryniarz uważa za absurd twierdzenie, że odkrycie Ameryki zostało wykonane głupio, ale ma zarazem ukrytą chęć dowiedzenia, że tak było W tym celu zanudza go swemi odwiedzinami, naprzykład, profesor logiki i, gdy publicysta jest bliskim pokazania mu syllogizmu z drzwi, schodów i ulicy, gość obdarza jego umysł nowym poglądem. Wiadomą jest rzeczą, powiada, że kłótnia niszczy sprawy największe. Ponieważ na okręcie miała miejsce kłótnia pomiędzy Kolumbem i jego załogą, więc musiała ona coś zniszczyć. Zniszczyła właśnie rozum. — Tyle profesor logiki Teraz kataryniarz z tajemniczą powagą ratuje wyłowiony idyotyzm i dodaje na końcu:

— Można to i owo zarzucić tak oryginalnemu postawieniu kwestyi, przyznać wszakże trzeba, że jest w niem coś i t. d.

Jest, jest—kokieterya, tchórzostwo publicystyczne, lub ignorancya.

Profesor logiki, bankier, przemysłowiec, wybitny lekarz, są to ptaszki tresowane, które publicystyka nasza z klatek wypuszcza, żeby uprawnić żądzę taniej sławy i grosza, oraz usprawiedliwić i uśpić intratną bierność i nieświadomość ogółu.

Tadeusz Ulanowski.

BADANIA NAUKOWE.

TEORYA POZNANIA ZJAWISK GOSPODARCZYCH.*)

I.

W dziedzinie nauki gospodarstwa społecznego walczą dziś o panowanie nad umysłami dwie szkoły: historyczna, której najwybitniejszym przedstawicielem jest Schmoller, i ścisła, lub wiedeńska, grupująca się—stosunkowo mniej licznie i od niedawna dopiero — koło Mengera. Gdy pierwsza kładzie główny nacisk na badanie zjawisk ekonomicznych w związku z otaczającymi i określającymi ją warunkami każdej epoki, na gromadzenie faktów i odkrywanie czysto empiryczne stosunków między nimi, a budowanie praw ogólnych uważa co najmniej za utopię przedwczesną, druga bierze za punkt wyjścia czysto gospodarcze potrzeby i funkcye pojedyńczego człowieka i dedukcyjnie wyprowadza z nich, mające ogólną wartość, prawa ekonomicznego życia społeczeństwa. W gruncie rzeczy, zasadniczej sprzeczności między tymi dwoma kierunkami niema i powinnyby się one nawzajem uzupełniać; ani bowiem szkoła historyczna nie wyrzeka się raz na zawsze szukania praw ekonomicznych na zasadzie nagromadzonych faktów, ani szkoła ścisła nie myśli przeczyć pożyteczności gromadzenia faktów historycznych i opierania na nich swych wywodów. Faktycznie jednak dzieli te szkoły coś więcej, niż naturalne przeciwieństwo uzupełniających się, bądź co bądź, nawzajem metod indukcyi i dedukcyi. Dzieli je przepaść całkowitej odmienności ducha i kierunku, która powstała stąd, że każda z tych szkół była reakcyą przeciw przesadzie jakiejś panującej szkoły poprzedniej: historyczna—przeciw bezwzględnemu racyonalizmowi klasycznej, a raczej więcej — manchesterskiej; wiedeńska — przeciw sceptycznemu konkretyzmowi, „agnostycyzmowi" historycznej. W walce każda zaostrza tylko jeszcze swą z góry postanowioną jednostronność, co sprawia, że ani historyczna nie wypełniła i wypełnić nie może zakreślonego jej przez Roschera zadania (wytłomaczyć, „co ludy w zakresie gospodarczym—i dlaczego — czuły, myślały, czego pragnęły?"), ani ścisła nie liczy się z tradycyami dziejowemi i z istniejącemi instytucyami, lecz daje dowolne dedukcye, a wreszcie — żadna nie jest w stanie stworzyć właściwej metody ekonomii, dając co najwyżej pod nazwą metody wykład swego własnego, jednostronnego sposobu ujmowania rzeczy.

Tak określiwszy obecny stan nauki ekonomicznej i powołując się na niemożliwość pogodzenia tak rozbieżnych kierunków, dr. Stanisław Grabski szuka wyjścia, szuka owej prawdy metodologicznej, która, według jego, trochę może optymis-

*) Dr. Stanisław Grabski: *Zur Erkenntnisslehre der volkswirthschaftlichen Erscheinungen*

tycznego zdania, nie będąc ani metafizyczną, ani praktyczną (otóż to kwestya!), musi być jedyną — na drodze, tamtym obu szkołom obcej, a dotychczas tylko przez Stammlera niejasno wskazanej, na drodze *teoryi poznania zjawisk społeczno-gospodarczych.*

Przystępu do tej drogi broni mu jednak bardzo rozpowszechniony przesąd, który stara się przedewszystkiem usunąć. Oto ekonomiści wyprowadzają zwykle pojęcie zjawisk ekonomicznych z pojęcia gospodarki publicznej, a dla ułatwienia sobie zrozumienia jej uciekają się do pojęcia gospodarki prywatnej, pojedyńczej. Jedno i drugie jest zasadniczo mylnem, jeżeli zajmiemy jedynie uzasadnione stanowisko poznającego *ja*. Bezpośrednio bowiem poznajemy i odczuwamy jedynie same właśnie zjawiska ekonomiczne, czyli zdatność dóbr w pewnych warunkach do zaspakajania naszych potrzeb; dopiero zdając sobie sprawę z tego, że znajdują się one na zownątrz nas, że jednak my jesteśmy z ich odbywaniem się jak najściślej związani, przypisujemy je, już pośrednią drogą, pewnej jakby odrębnej substancyi — społeczeństwu, którego czujemy się członkami. Z drugiej strony, poznajemy wprawdzie również bezpośrednio zjawiska indywidualno-gospodarcze, ale przejście od nich do pojęcia zjawisk gospodarki publicznej jest logicznie niemożliwe, ponieważ dochodzą one do naszej świadomości w sposób zupełnie odmienny: pierwsze — jako wynik naszej osobistej czynności, czyli objawy pewnej, naszej, kierowniczej woli; drugie — jako wpływy i ograniczenia zewnętrzne, po za którymi nie mamy wcale powodu przypuszczania jakiejś jednolitej woli kierującej. Wyprowadzanie praw gospodarki publicznej z potrzeb i stanów psychicznych jednostek jest błędnem, ponieważ same potrzeby te i stany są wynikami procesów społecznych. Pozornie rzeczywiście tak się wydaje, jakoby gospodarka publiczna składała się z szeregu zaspakajania przez jednostki indywidualnych potrzeb; ale faktycznie zaspakajanie osobistych potrzeb jest dla jednostek tylko okazyą do wstępowania w społeczne stosunki — wymiany wartości itp., które z osobistej gospodarki wyprowadzić się nie dadzą, bo są względem niej właśnie przedistniejącemi.

Tu nasuwa się dr. S. Grabskiemu samo przez się zagadnienie dwojakiej natury jednostki, jako zarazem subjektu i objektu zjawisk społecznych. Odrzuca on myśl organicystów o odrębnej jakiejś świadomości społecznej *); trzyma się stanowczo tego stanowiska, że wszelkie zjawiska specyficznie-społeczne, zarówno jak indywidualne, odbywają się w świadomości jednostek; ale uważa przecież za niemożliwe wytłomaczenie faktu łączności jednostki ze społeczeństwem i uległości prawom dobra społecznego — samą tylko indukcyą na zasadzie przekonywania się wielokrotnego o wspólności interesów jednostki i innych jednostek. To nie mogłoby doprowadzić do podporządkowywania własnych interesów interesom ogółu, do oceniania potrzeb i dóbr wogóle z punktu widzenia pożytku ogółu, jako czegoś różnego i odrębnego od jednostki. Taką zasadniczą zmianę ogólnego kierunku koordynacyi wrażeń jednostki, którą przypuścić tu musimy, możemy wytłomaczyć nie historycznie wprawdzie, ale jedynie za pomocą uzasadnionej całkiem hipotezy — stopniowego przystosowania się do wymagań walki o byt, wyrażającego się w zrzeszeniu i spójni, u istot niższych — materyalnej i przestrzennej, u wyższych — już tylko duchowej. Przystosowanie to sprawiło, że we wszystkich, choćby najpierwszych społeczeństwach (a jednostki pozaspołecznej nie znamy i nie możemy sobie wyobrazić) jednostka czuje się przy ocenianiu dóbr przeciętną jednostką społeczną i dlatego ma poczucie objektywnej, społecznej wartości swej indywidualnej oceny tych dóbr i usług.

I to jest właśnie pierwsza kategorya zjawisk ekonomicznych. Odpowiada jej pierwsza kategorya ich poznawania: kategorya tożsamości. Istotnie, ujmujemy przedewszystkiem wszelkie dobra i usługi pod punktem widzenia tożsamości ich oceny, co daje nam nasze *zasadnicze i aprioryczne pojęcia gospodarcze*, nasze w tej dziedzinie „pierwsze zasady“ (Grundbegriffe): wartość, kapitał i czynsz, renta. Są to objektywne formy oceny dóbr i usług z różnych punktów widzenia, odpowiadających różnym interesom społeczeństwa: podług znaczenia tych dóbr, jako środków zaspokojenia potrzeb wogóle (wartość), podług zdolności ich wzmacniania wytwórczości naszej pracy (kapitał), zdolności dostarczania środków spożywczych i materyałów surowych (renta) itd. Pojęcia te zasadnicze nie są ani przyrodzonemi i stałemi właściwościami dóbr materyalnych, za jakie je w swym naiwnym realizmie uważała szkoła klasyczna, ani też czystemi abstrakcyami pomocniczemi przy badaniu zjawisk, jakiemi je czyni nominalizm Wagnera np., ale poprostu rzeczywistymi stanami psychicznymi jednostek społecznych, na podstawie których mogą one wchodzić w stosunki z innemi jednostkami, bo czują się z niemi identycznej natury.

Ale tylko najogólniejszy kierunek oceny dóbr przez jednostki jest identyczny. Skoro tylko dochodzi do konkretnego wyrazu tej oceny, to wywiera natychmiastowy wpływ fakt zróżniczkowania społeczeństwa i sprawia, że każda klasa, każda grupa zawodowa, każda wreszcie jednostka (bo każda jednostka jest—głosi dr. Grabski za Simmlem — punktem przecięcia mnóstwa kół społecznych i odrębną wypadkową wielu różnych sił) ocenia dobra i usługi we właściwy sobie sposób, podług swoich interesów i potrzeb. Jest to już nowa kategorya zjawisk gospodarczych, odpowiadająca poznawczej kategoryi *różnorodności*; lecz ta różnorodność, na zasadzie uprzedniej tożsamości, zawarunkowana jest *koordynacyą*. Jednostki, zdając sobie sprawę z różnicy swych potrzeb i pożądań, oddziaływają wzajemnie na siebie w celu ich zaspokojenia i wzajemnie się też przystosowują. Wyradza to kategoryę *faktów ekonomicznych*, jak np. wysokość stopy procentowej, renty, cen itd. Trzecią wreszcie kategoryą poznawczą i objektywną jest kategorya *subordynacyi*, kategorya *instytucyj*, urządzeń gospodarczych, jak pieniądz, własność itp., ustanowionych w celu otamowania rozbieżnych interesów; do ram ich potem musi się stosować każda czynność jednostki, wchodzącej w gospodarcze stosunki z innemi. Te trzy kategorye odpowiadają ujmowaniu przez nas rzeczy zewnętrznych wogóle, albo — jako wrażeń, przy których *ja* nasze zachowuje się biernie, albo — jako skutków naszego oddziaływania na świat zewnętrzny, albo — jako zewnętrznych, od nas niezależnych granic naszej czynności. Przytem pamiętać należy, że rozróżnianie ich jest operacyą czysto logiczną, a w rzeczywistości obecnemi są one wszystkie trzy w każdym stosunku gospodarczym. Najprostszy akt wymiany zawiera wszystkie trzy momenty: przypuszcza zasadniczo jednakowe pojęcie wartości u obu stron (stosunek tożsamości), występowanie jednej — jako spożywcy, drugiej — jako wytwórcy (stosunek różnicy grup i koordynacyi), wreszcie użycie prawnej miary wartości — pieniądza (stosunek subordynacyi względem urządzeń społecznych). Ta ostatnia kategorya łączy już gospodarstwo z etyką, prawem i państwowością.

Oto w najogólniejszych zarysach treść pierwszych zasad „Teoryi poznania zjawisk ekonomicznych“ dr. Grabskiego, która jedynie — zdaniem jego — być może metodologią nauki gospodarstwa publicznego. Tylko bowiem wprowadzenie apriorycznych gospodarczych „pojęć zasadniczych“ pozwala zrozumieć, że i jakim sposobem dążenia indywidualne do zaspokojenia indywidualnych potrzeb składają się na system gospodarstwa ogółu, pozwala też nam i zmusza nas do uznania prawidłowości „wiecznie płynących“ i nieskończenie różnorodnych zjawisk ekonomicznych, bo system tych pojęć jest dla tych zjawisk jakby szkieletem i rusztowaniem (odpowiadającem „schematyzmowi czystego rozumu“ Kanta); a więc tym sposobem dopiero usunięte być mogą sprzeczności i luki szkół zarówno Mengerowskiej jak historycznej. Ale te „pojęcia zasadnicze“ są apriorycznemi tylko względnie, w tem znaczeniu, że każda jednostka otrzymuje je gotowe i tylko w ich formy może wkładać swe gospodarcze stosunki z innemi; nie znaczy to wcale, aby były one wiecznemi, ani tem bardziej, aby można było wyprowadzić je dedukcyjnie czy to wszystkie z natury człowieka, czy jedne z drugich. Przeciwnie, są to „kategorye historyczne,“ które powstają drogą syntezy cząstkowych sądów i ocen, taką drogą się przekształcają, mają wartość tylko dla danej epoki i muszą być badane genetycznie. I zadaniem właśnie nauki gospodarstwa publicznego, tak jak ją rozumie dr. Grabski, jest odkrywanie koniecznych psychologicznych praw powstawania, kształtowania się i koordynacyi naszych sądów gospodarczych, które byłyby najwyższemi prawami ekonomicznemi i dałyby nam najgłębsze zrozumienie rzeczywistych zjawisk ekonomicznych.

Jest w tem wszystkiem coś — choć zdziwi to naszego autora — co z punktu widzenia monizmu ekonomicznego, „materyalistycznego pojmowania dziejów,“ z uznaniem tylko powitać można, pomijając nawet to, co z samem nazwiskiem młodego naszego uczonego jest już obecnie powszechnie związane, mianowicie—sumienność i powagę pracy, a znaczną samodzielność myśli. To jest ocena ogólna, oparta poprostu na tożsamości zasadniczego pojęcia wartości pracy we wszystkich szkołach naukowych; ale i z wyżej zaznaczonego odrębnego naszego stanowiska cieszyć się tylko możemy, że tak konsekwentnie przeprowadził on myśl społecznego pochodzenia najbardziej zasadniczych form naszego odczuwania, myślenia i działania, stających się z kolei formami ujęcia przez nas społecznej rzeczywistości. Parokrotnie już mieliśmy sposobność wyrażać pogląd, że tak pojęte odrodzenie kantyzmu, że mianowicie *uspołecznienie krytycznego punktu widzenia*, czyli odkrywanie i badanie społecznej, względnie klasowej, zawodowej itp. apercepcyi, której działanie kombinuje się z apercepcyą indywidualnie-psychologiczną, jest wysoce pożądane i może zamienić okrzyczany a jałowy „kryzys marxizmu“ na postęp monizmu ekonomicznego. Urzeczywistniając dalej swe plany w tym kierunku wykrywając rzeczywiście genezę społeczną różnych form naszych ekonomicznych sądów, jak naszkicował np. w kilkunastu wierszach taką genezę pojęcia kapitału (str. 79), może dr. Grabski oddać znakomite usługi nie tyle może specyalnie ekonomii politycznej (o czem niżej), ile wogóle socyologii. Idąc tą drogą, zawadził on nawet o pewne zjawisko, przy którem, zapatrzony w swój metodologiczny cel, dłużej się nie zatrzymywał, ale na które my chcemy tu zwrócić baczniejszą uwagę. Mamy na myśli ustęp, w którym dr. G. wykazuje, jak dotychczaso-

*) Chociaż za podstawę swej krytyki nie bierze on tu najnowszego stanu teoryi organizmu społecznego. Zwolennicy jej powołują się na świadomość komórek i na walkę interesów między różnemi częściami organizmu. Por. dyskusye na III kongresie socyologicznym.

wi ekonomiści, zwłaszcza ze szkoły historycznej, nie mogą sobie dać rady z pojęciem gospodarki zbiorowej, społecznej, i widzą w niem różne sprzeczności, ponieważ w tej gospodarce nie można wykryć jednolitej woli kierującej. Jeden z nich, Lehr (str. 21), zauważył, że o takiej „realnej całości“ mogłaby być mowa dopiero przy pewnym systemie gospodarki, należącym do utopii — czy do przyszłości... A jednak to pojęcie całości społecznej, jak skądinąd i dr. Grabski wykazuje, żyje nieustannie w świadomości ludzi, i najdalej nawet idący podział społeczeństwa na najsilniej walczące z sobą grupy nie jest w stanie go wykorzenić. Skąd się wzięło? Nie przywiał go przecie jakiś kosmiczny wiatr z mgławic przyszłości, ani z gajów wyspy Utopii; nie — jest to jedna z najgłębszych i najsilniejszych *bezwiednych tradycyj ludzkości*, a badanie genetyczne wskazałoby, jako punkt jej powstania, pewien określony bezklasowy system gospodarki społecznej, który rozpadł się w pierwocinach historyi ekonomicznej i politycznej pod parciem indywidualizmu. Dziedzictwo to, stawszy się apriorycznem „pojęciem zasadniczem,“ przez całe wieki utrzymywało w spójni społecznej zbyt rozbieżne żywioły, a zarazem było i jest fermentem dążeń do owego przyszłego systemu, o którym mówi Lehr — jego antycypacyą. I inne „zasadnicze pojęcia,“ wytworzone w odmiennych warunkach, choć na pozór mają czysto tylko metodologiczne znaczenie, współdziałają także rozwojowi odpowiednich prądów i systemów ustroju ekonomicznego, o czem świadczą choćby usiłowania Böhm-Bawerka, obecnie ministra skarbu w Austryi, aby z wartości dóbr przyszłych wywieść oprocentowanie kapitału...

(D. n.).

Dr. K. Krauz.

LITERATURA I SZTUKA.

Maksym Gorkij.

(Sylwetka).

II.

Przypatrzmy się teraz nieco bliżej bohaterom pism Gorkiego. Maluje on z upodobaniem tak zwanych „niespokojnych ludzi,“ buntujących się przeciw kajdanom uznanych formułek moralnych, wyrywających się z powijaków wszelakiej warunkowości ku absolutnej wolności, spragnionych czynów bohaterskich. Wichrowata natura ludzi nie godzi się z ciasnemi ramami, w które los ich wtłoczył. Ogromny zapas nagromadzonej w nich siły nie znajduje odpowiedniego zastosowania, nie nadaje się do powolnej drobiazgowej roboty, której od nich życie wymaga, i prowadzi ich często na manowce szaleństw i zbrodni. Na ludzi, przykutych do powszedniej roboty życiowej, zadowolonych z bytu, sytych swojem włościańskiem lub mieszczańskiem „szczęściem,“ spoglądają oni ze wzgardą, jak na niewolników, niegodnych imienia człowieka. Czełkasz, włóczęga, „wspaniałomyślny złodziej,“ ze wstrętem rzuca kradzione pieniądze chłopu, którym gardzi za jego przywiązanie do grosza, za myśl kupienia za ten grosz kawałka ziemi. Bosonogi bohater Gorkiego powiada wręcz: „Niecierpię chłopów, wszystkich chłopów. To szelmy! Udadzą sieroty, zaraz dostaną chleba, wszystkiego... Oni tam mają ziemstwo, które dla nich wszystko robi... stękają, kłamią, ale żyć mogą i mają taką „uczepkę“ — ziemię...“ Bohaterowie Gorkiego nienawidzą w podobny sposób owej rozprawiającej, kłócącej się inteligencyi, zdolnej tylko do okruchów czynu, nieumiejącej pchnąć z miejsca „rydwanu ideałów.“ Ktoś z tej inteligencyi sam skarży się na to u Gorkiego: „Nie mamy smaku do życia. Czem dla nas jest życie? Ucztą? Nie. Pracą? Nie. Bitwą? O, nie! Życie to coś nudnego, wlokącego się, szarego... jakiś ciężar na plecach.“ I Gorkij przedstawia tę szarość życia nie gorzej często, niż mistrz pod tym względem, inny rosyjski malarz nudy — Czechow.

Z gorzkim wyrzutem do inteligencyi zwraca się inny bohater Gorkiego, fejletonista Jeżow, wołając: „Zebrałbym resztki poszarpanej duszy i krwią serca plunąłbym niemi w twarz naszym inteligentom. Do djaska! Powiedziałbym im: boże krówki! wyście najlepszym sokiem mego kraju! Fakt waszego istnienia opłacony jest krwią i łzami dziesiątków pokoleń. O, gnidy! Jak drogo kosztujecie swój kraj! A coście dlań uczynili? Czy łzy przeszłości zmieniliście w perły? Co daliście życiu? Co robicie?

Instynktowni wrogowie wszelkiego niewolnictwa, pragnący szarpać więzy cywilizacyjne, spragnieni absolutnej wolności, bohaterowie Gorkiego ulegają napadom strasznej, niewytłomaczonej dla nich samych tęsknoty. Może tęsknota ta jest objawem atawistycznym, wspomnieniem fizyologicznem tych włóczęgoskich organizacyj o innem, swobodnem, stepowem życiu przodków. A może jest raczej, sięgającem już w przyszłość, uświadamiającem się dopiero, poczuciem powszedniej, fatalnej ciasnoty życia, bolesnem odkryciem wiecznej ograniczoności, z którą wolny duch ludzki pogodzić się nie może... Z taką pogardą dla powszedniej, mrówczej pracy, z taką tęsknotą za czemś nieuchwytnem, z tym nadmiarem sił, rozpryskujących się w bezpłodnej pogoni za jakiemiś marami wyobraźni, bohaterowie Gorkiego od wzgardy dla innych przerzucają się w drugą ostateczność — gardzą sobą. Odczuwając boleśnie swoją nieudolność wobec życia praktycznego i swą niezdatność do czynu, dochodzą do wniosku o swej „zbyteczności na świecie.“ W malowaniu tej tęsknoty, we wszystkich jej przejawach i stopniach — Gorkij jest prawdziwym poetą.

Trzeba znać lud rosyjski, aby zrozumieć, jak dokładnie odtworzył jego duszę autor „Tomasza Gordiejewa.“ Gorzkim refleksyom oddają się u niego przedstawiciele wszystkich warstw. Tylko człowiek z wyższej klasy zaczepia swoje myśli o teorye filozoficzne Schoppenhauera, układa je w systemat i wyraża w bardziej złożonej i ściślejszej formie. Chłop lub kupiec wykłada swe zwątpienia językiem żywiołowym, prostym a mocnym, znakomicie uchwyconym przez Gorkiego.

A jednak i „zbyteczni ludzie“ szukają wciąż jakiegoś ideału, „swojego punktu“ — jak zwykli mawiać. Nie są to bezduszni egoiści, indywidualiści, których zajmuje nadewszystko własne „ja.“ Niedola ich tkwi w tem, że najszczęśliwszy, najszerszy rozwój własnej jaźni nie mógłby ich zadowolić. Wartość osobniczego życia — to zagadka, która łączy się dla nich z inną, wymagającą równoczesnego rozwiązania — z zagadką wartości ludzkiego życia wogóle, życia tłumów w szczególności. Więc niektórzy z nich powiadają: „Na sto noży gotowi jesteśmy się rzucić, aby tylko z pożytkiem, aby stąd poszła ulga dla ludzi.“ Oddać siebie w ofierze — to już cel, to już upragniony czyn... Ale jak to uczynić, aby to było „z pożytkiem“ — w tem tkwi trudność, a w tej trudności — tragedya.

I na tem tle u wydziedziczonych Gorkiego, u nędzarzy bez dachu i chleba, u tych włóczęgów, wyrzuconych ze społeczeństwa, szczutych przez jego stróżów, rodzą się niemal „Nietzscheańskie“ idee. Barbara Olesowa podrwiwa sobie z nieśmiałego prywat-docenta: „Patrzajcie go! oto człowiek! Wciąż boi się krępować kogoś, być niesprawiedliwym... Ach, Boże mój!.. Toć to musi być nudne życie... zawsze w sidłach! A ja tak myślę: Chcesz przycisnąć kogoś — przyciśnij, chcesz być niesprawiedliwym — bądź!“ Orłow marzy o tem, aby „znaleźć punkt dość wysoki, stanąć na nim i plunąć z wysokości na ludzi, mówiąc im: „Ach, wy gady! Po co żyjecie? Jak żyjecie? Jesteście obłudnymi łotrzykami i nic więcej!“ Bohaterowie Gorkiego odczuwają w równym stopniu marność ludzi, jak i bezcelowość życia, marność uderzającą zwłaszcza dziś, gdy „ludzie aż do mdłości stali się mali i nieciekawi, w naszej epoce moralizatorstwa i kazań na temat walki z namiętnościami.“ Więc też „Niespokojni“ Gorkiego nie chcą pozostawać na wzór większości „w niewoli u życia“; po Nietzscheańsku, nie znając niemieckiego filozofa, dzięki naturze swej, marzą o zwolnieniu się „od obowiązków, od różnych malutkich sznureczków, krępujących istnienie, od drobiazgów, tak zlepiających życie, że przestało ono być rozkoszą i jest nudą, cuchnącą cebulką obowiązków, w rodzaju obowiązku: lecz wszystko czynić tak, jak przyjęto, a nie tak, jakby się pragnęło.“

I sam Gorkij podziela w zupełności uczucia swych bohaterów, ciągnących do życia włóczęgoskiego, zwanego przezeń „ptasiem.“ Potrzeba — powiada on już od siebie — urodzić się w społeczeństwie kulturalnem, aby znaleźć cierpliwość przebyć w niem całe życie *i nie zechcieć ani razu uciec dokądkolwiek* ze sfery wszystkich jego warunkowości, uprawnionych przez zwyczaj drobniutkich jego kłamstw, chorobliwych ambicyjek, słowem, z tej całej oziębiającej uczucia i demoralizującej umysły *nicości nad nicościami, nazwanej na ogół nader mylnie i nieściśle — kulturą.*“ Z dumą i radością mówi o tem, że nie urodził się w tej sferze, że nie znosi kultury w znacznych dozach, że od czasu do czasu z ram jej pcha go coś na pola i gościńce ojczyzny, a nawet do jam miejskich, gdzie „chociaż wszystko jest brudne, ale za to szczere i proste...“ Gorkij nie zapomniał dotąd, jak prosta dziewczyna z ludu, opluta przez ogół prostytutka, na wybrzeżu morskiem przygarnęła kiedyś do łona jego, nędzarza w łachmanach, ogrzała ciepłem swego ciała i powróciła życiu. Krótka opowieść o tym fakcie p. t. „Pewnego razu w jesieni,“ jest perłą nowelistyki rosyjskiej.

Nie będziemy wyciskali treści filozoficznej ze zdań bohaterów Gorkiego. Nie będziemy na zasadzie ich charakterystyk szukali jakiejś zasadniczej idei, jakiejś całkowitej teoryi, skończonego poglądu na świat autora. Poglądy ich nie są przepisami moralności praktycznej, wskazówkami etycznemi, uogólnieniami naukowemi. Nie filozofii szukajmy tutaj, ale poezyi. Jest jej tu wiele—świeżej, barwnej, wzniosłej. Życie zbladło, zmalało, straciło kolory i rysy potężne. Niewątpliwie też ma słuszność Gorkij, gdy w twórczości swej zwraca się tak często do legend i baśni, gdy wierzy, że „wyobraźnia pozwoli człowiekowi choć na krótko podnosić się nad ziemię i wypatrywać na niej utraconego miejsca.“ Wie on, że ludzie praktyczni nie zrozumieją jego porywów, ale są to dlań węże, nierozumiejące orłów. „Zrodzone do pełzania, latać nie mogą.“ To nic, że orzeł spada, łamie skrzydła i broczy krwią. Miał swoją „chwilę.“ Dla Gorkiego „sens życia tkwi w piękności i mocy dążenia do celów; trzeba tylko, aby każdy moment życia miał swój wzniosły cel.“

Bohaterowie Gorkiego nie są ideałami, nie mogą stanąć, jako drogowskazy życia. Ale psychologia ich, prócz tej prawdy, która zaciekawia i wzbogaca naszą wiedzę o ludziach i typach, ma jeszcze wartość

mną. Wieje od nich jakaś moc, jakaś szczera siła, która odświeża i porywa, a działa uzdrawiająco.

Dzisiejszemu pokoleniu Gorkij „chce napuścić ognia do żył,“ chce usunąć unoszącą się nad życiem „woń zgnilizny, tchórzostwa, lokajstwa serc i umysłów.“ I pesymista w obserwacyi, marząc o przyszłości, zmienia się w optymistę. Już dzisiaj widzi on zapowiedź przyszłości. W mrokach życia dostrzega iskry piękna i szlachetności. Wśród kalectw ludzkości odróżnia szlachetne rany, otrzymane w walce za prawa ludzi. Nie wątpi o sile, która stworzy to, czego dzisiaj życiu brak. „Siły tej dzisiaj jest mało, ale jutro ona rozwinąć się musi!“ A dodając gdzieindziej, że ma prawo w to wierzyć, żąda, aby inni jemu wierzyli. „Bo prawo do tej wiary kupiłem drogo! Ale za to mam je na całe życie! I w tem prawie mam jeszcze drugie! Mam prawo żądać, abyście wy wierzyli tak samo, jak ja. Albowiem jam jest prawdziwym głosem życia, szorstkim krzykiem tych, którzy zostali tam, na dole, puściwszy mnie do was na świadectwo o ich cierpieniach. Oni też pragną wydobyć się na wierzch — do samopoznania, do światła, do wolności!“

Leo Belmont.

SZTUKA STOSOWANA.

(Dokończenie).

Prądy nowe w sztuce stosowanej przyczynią się bezwarunkowo do gruntownej rewizyi naszych pojęć o sztuce wogóle, a to już samo jest niepożytą zasługą nowatorów-artystów, którzy ruch ten wywołali. Lecz doniosłość tego zjawiska jest większą jeszcze; chodzi mianowicie o to, że ten „przemysł artystyczny“ powinien zmienić doszczętnie utarte poglądy na stosunek nowożytnego społeczeństwa do sztuki.

Ogólnie bowiem dziś sądzimy, że zanik piękna jest nieodzownym skutkiem stosunków społecznych, opartych na produkcyi maszynowej, wielkoprzemysłowej. Kominy fabryczne, to rzekomo czynnik, zabijający piękno, maszyna— to wróg wszelkiej sztuki. Tak sądzi ogół, tak sądzą teoretycy estetyki, a tę nienawiść ku nowożytnym formom bytu społecznego podsycał jeszcze najpłodniejszy i najgłębszy z propagatorów piękna — John Ruskin. Reformator ten kazał odbijać książki swoje w maleńkiej drukarni, posługującej się narzędziami pierwotnemi, a potem sprowadzał furgony do rozwożenia tych ksiąg, by nie były sprofanowane przewozem koleją żelazną. Sam też jeździł po kraju dyliżansem staroświeckim, narażając się na niewygody i szyderstwo, byle nie posługiwać się znienawidzoną maszyną parową. Tym wstrętem do maszyny zaraził się też William Morris i w swoich warsztatach posługiwał się wyłącznie prostomi narzędziami. Van de Velde natomiast, jak wspomnieliśmy, sądzi zgoła inaczej o wyrobach maszyny i pracy jej twórcy — inżeniera. Domaga on się dla niego zaszczytnego tytułu artysty.

Czem istotnie usprawiedliwia się owa nienawiść dusz artystycznych dla maszyny? Nam się zdaje, że chodzi tu o proste nieporozumienie. Gdyby Ruskin chciał być konsekwentnym, powinienby odrzucać nietylko nowożytną maszynę drukarską i lokomotywę, ale również staroświecką prasę drukarską i dyliżans, gdyż są to również maszyny. Różnicy zasadniczej żaden mechanik dopatrzyć się nie będzie mógł. Zachodzi wszelako różnica w funkcyach społecznych, że tak się wyrazimy, maszyn nowożytnych a staroświeckich: Maszyna stała się najpotężniejszą dźwignią kapitalizmu; kapitalistyczny przedsiębiorca zaś pomijał wszelkie względy estetyczne w produkcyi; kieruje nim jedna tylko pobudka: chce wyrabiać towary z możliwie wielkim zyskiem; ponieważ zaś zysk największy bywa osiągany przy produkcyi tandety, więc fabrykuje tandetę. Stąd powstało mniemanie, ogólnie rozpowszechnione, że wyrób ręczny z konieczności musi być lepszy od wyrobu maszynowego. To też gdy nam kupiec zachwala towar, zapewnia nas, że to „robota ręczna.“ Pogląd taki był uzasadniony w zaraniu produkcyi maszynowej, kiedy maszyny były tak niedoskonałe, iż nie mogły sprostać zadaniu. Dziś wszakże tak nie jest. Maszyna została niemal we wszystkich gałęziach produkcyi wydoskonaloną o tyle, że wyrób jej przewyższa niekiedy, a prawie zawsze dorównywa ręcznemu. Sukno lub płótno np., utkane na nader skomplikowanych warsztatach mechanicznych, poruszanych motorem elektrycznym, jest faktycznie lepsze od samodziału; stal na pewno lepiej można oszlifować na maszynie, aniżeli zdoła uczynić to robotnik ręcznie; obuwie maszynowe dziś może iść w zawody z wyrobem szewca, który posługuje się prastaremi narzędziami itd. itd. Jeżeli tak ma się rzecz z trwałością i innemi własnościami wyrobu, to nie inaczej będzie, gdy chodzi o piękno sprzętów. Przypuśćmy, że chodzi o zrobienie pięknej szafy, do której pomysł dał artysta. Dlaczego szafa ta ma być piękną, jeżeli drzewo ściął drwal siekierą, pociął na deski tracz piłą ręczną, uheblował deski stolarz heblem ręcznym; a dlaczego ma być mniej piękną, jeżeli drzewo ścięto piłą poruszaną motorem elektrycznym, pocięto na deski w wielkim tartaku parowym, a deski te zostały następnie urobiono za pomocą najnowszych maszyn stolarskich?

Albo mamy wzór na koronkę: czyż o piękności tej koronki stanowi to, że ją wyrobiła koronczarka, nadrywając sił i psując oczy, czy koronka będzie mniej piękną, jeżeli zastała zrobiona na maszynie koronkarskiej, na której może być wykonaną z zupełnie wiernem oddaniem wzoru przy minimalnym wysiłku pracy? Pamiętajmy przecież o tem, że nawet w dziedzinie „sztuk pięknych“ czysto mechaniczne produkowanie gra rolę ogromną, mianowicie w rzeźbie, rzeźbiarz bowiem lepi z gliny swoje dzieło, odlewa je potem z gipsu, a wykucie, właściwe wyrzeźbienie w marmurze, jest zadaniem rzemieślnika, który przy tem kopiowaniu posługuje się maszyną, t. zw. „punktierką“; rzeźbiarze na pewno z zachwytem powitaliby wynalezienie maszyny, któraby odtwarzała z kamienia drzewo modelowane z ścisłą dokładnością, gdy dziś owi rzemieślnicy (scarpelini) aż nadto często psują ich utwory. Chodzi tedy tylko o to, aby maszyna była rzeczywiście sprawną, aby całkowicie sprostała zadaniu. Lecz takie maszyny mamy już dziś niewątpliwie. Mechanicy z dumą uzasadnioną powtarzają, że każdy wyrób, który wykonać może ręka ludzka, może też wykonać maszyna narzędziowa. Kapitalistyczny przedsiębiorca jednak po największej części nie dba o wyrób rzeczy pięknych za pomocą maszyny, a o ile dba, ma on własne pojęcie o pięknie, które Van de Velde charakteryzuje dosadnie tam, gdzie wspomina o wózkach dziecinnych i narzędziach chirurgicznych, jako przedmiotach zadawalających jego poczucie estetyczne. „Te przedmioty—powiada — były piękne, ponieważ są ściśle tem, czem być mają; forma, w jakiej pojawiły się, była tem piękniejszą, że materyały, z jakich zostały zrobione, były piękne i przyzwoicie opracowane. Były piękne, dopóki chciwi zysku i szkodę czyniący przemysłowcy nie poczęli ich ozdabiać po swojemu, aż wreszcie pozbawili je, bez względu na potrzebę, pierwotnej formy. Rządzili się tu oni niebezpiecznymi fortelami, gdyż zawsze widzą ci panowie, z jakich czerpać mają źródeł, aby otumanić tłum, który nie dowiedział się jeszcze o tem, na czem polega charakter nowożytnego piękna, który zawsze można zahypnotyzować i wziąć na lep owymi tysiącznymi środeczkami formalnej i ornamentalnej fantazyi. Przyjdzie atoli czas, gdy zdołamy zapobiedz takiemu partactwu. Skoro ludzie dowiedzą się, skąd otrzymać mogą plastyczne piękno i kto go dostarcza, będą czcili inżeniera tak samo, jak czczą dziś poetę, malarza, rzeźbiarza i jak czcili budowniczego...“

Maszyna, jako narzędzie pracy, nie przeszkadza pięknu, lecz przeciwnie, powinna i może być dzielną pomocnicą człowieka przy wyrobie pięknych przedmiotów. Maszyna stała się narzędziem wyzysku, nie z natury swojej, lecz wskutek warunków społecznych (Marx); tak samo też maszyna stała się wrogiem piękna, nie z natury swojej, lecz wskutek warunków społecznych, przy jakich jest użytą. Skoro zmienią się te warunki, zmieni się też rola maszyny pod względem estetycznym. Sądzić nawet należy, iż z chwilą, kiedy zadanie tworzenia pięknych rzeczy, służenie pięknu, będzie wysunięte na plan pierwszy w produkcyi, wówczas zaniedbane pod tym względem uzdolnienia wytrysną ogromną siłą: wówczas technicy, chemicy, zarówno jak mechanicy, dostarczą nam nowych materyałów niebywałej piękności i nowych sposobów urabiania tych materyałów. Czynią bowiem oni to już dziś wśród warunków tak wrogich pięknu, a czynić będą z niezrównanie większą gorliwością, skoro będą mogli bez przeszkód stanąć do usług w służbie kultu piękna. Toż nie inaczej działo się w owych uwielbianych czasach minionych: technicy to przecież byli, dostarczający nowych materyałów i sposobów ich urabiania. Różnica na tem tylko polega, że dziś technika oparta na podstawach naukowych, jest stokroć potężniejszą. Dlaczegóżby więc ta potęga nie mogła być stosowaną w tym samym celu?

Skoro zaś tak jest, skoro potęga techniki może być odddaną na służbę piękna, sztuka stosowana nowożytna otwiera przed nami świetne perspektywy na przyszłość. O tem bowiem, że warunki społeczne, przy których każdy postęp techniczny staje się nowym środkiem wyzysku, zmienią się rdzennie, nikt już chyba nie wątpi. A stąd czerpać możemy otuchę, że i w dziedzinie sztuki warunki zmienią się kiedyś doszczętnie. Wtedy urzeczywistnią się marzenia naszego artysty, który powiada: „Prawdziwe zmartwychwstanie nastąpi, kiedy danem nam będzie oglądać miasto, w którem dom każdy będzie pełnym wyrazem charakteru, woli i pragnień osobnika pewnego. Jeżeli mi kto zarzuci, że byłby to jakiś dziki karnawał, waryacka wizya, to mu wskażę harmonijny i pyszny widok, jaki przedstawia ogród, zawierający mnóstwo różnych roślin, którym pozwolono rozwijać się swobodnie. Jest to widowisko, jakie sprawia zawsze dzielność, walka, silna wola: pełnia życia. Historya ludzkości byłaby mniej mętną, gdyby pod tym względem drogi były otwarte naoścież.“

Otóż nam się zdaje, że ludzkość utoruje sobie te drogi, utorować musi. Gdyby rzeczywiście prawdą było to, co twierdził Ruskin, gdyby nie było innej ucieczki przed szkaradą otaczającą nas w życiu, jeno powrót do pierwotnych form bytu społeczeństwa średniowiecznego, wówczas należałoby rzeczywiście zwątpić o przyszłości, gdyż powrót taki jest niemożliwy. Skoro wszelako, jak twierdzi Van de Velde, nowożytne formy produkcyi zawierają właśnie czynniki nietylko nie wrogie, lecz sprzyjające odrodzeniu piękna i sztuki w najszerszem znaczeniu, a na zawadzie stoją raczej formy społeczne, to wierzyć na-

łoży, że społeczeństwo posiędzie tę nową sztukę i to nowe piękno. Nuta pesymistyczna w wywodach naszego artysty pochodzi stąd, że pojęcia jego o rozwoju społecznym nie są oparte na wiedzy naukowej. Wierzy on bowiem — jak powiada w rozdziale końcowym, zatytułowanym „odrodzenie sztuki stosowanej a ruch społeczny“ — że ruch społeczny dąży w kierunku podniesienia poziomu dobrobytu materyalnego, lecz twierdzi: „nie widzę, dlaczego muszę dojść do wniosku, że, skoro wszystkie dźwignie do polepszenia bytu materyalnego zostaną puszczone w ruch, ta sama siła ma prócz tego wytworzyć czynniki niemateryalne, których dziś niema.“ Otóż nauka o zjawiskach społecznych uważa już od dawien dawna za pewnik, że właśnie zmiana materyalnych czynników bytu społecznego nietylko może, ale koniecznie musi wytwarzać „nowe czynniki niemateryalne.“ Dlatego właśnie mamy prawo spodziewać się, ba, mamy nawet pewność naukową, że owo podniesienie dobrobytu materyalnego doprowadzi w społeczeństwie przyszłości, społecznie niekapitalistycznem, do powszechnego kultu piękna, że te zaczątki prawdziwej, bo przesiąkającej całe życie sztuki, utożsamionej z życiem, rozwiną się wspaniale w owem społeczeństwie przyszłości. *Vivant sequentes!*

Baltazar.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

POWIEŚĆ. Dygasiński: „Łabędzia woda,“ z ilustracyami St. Sobarskiego, str 66, nakł. Mieczyńskiego.

— W. Garszyn: „Nowele“ (Czerwony kwiatek, Attalea Princeps, Cztery dni, Artyści, Sygnał, Tchórz, Spotkanie). Przekład J. Czekalskiego. Warszawa, 1901, nakł. A. Heflicha. Skład główny u Gebethnera i Wolffa, str. 208.

POEZYA. Edward Słoński: „Poematy: I. Pieśń. II. Mary.“ Warszawa, 1901. Str. 80. Wydanie niezwykle wytworne.

— E. Rostand: „Orlątko,“ dramat w 6 aktach, wierszem. Przekł. M. Chwalibóg, str. 311. Hösick.

PRAWO. Mogilnicki: „Obrońca kryminalny a opinia publiczna,“ odbitka z *Ateneum*, str. 23. Skład w księgarni Wendego.

— J. Kucharzewski: „Początki prawa małżeńskiego.“ Wyd. Kasy Mianowskiego. Str. 144, cena 75 kop., skład w ks. Wendego.

ARCHEOLOGIA. „Światowit,“ rocznik, poświęcony archeologii przeddziejowej i badaniu pierwotnej kultury polskiej i słowiańskiej, t. III (59 ilustracyj i XII tablic). C. 2 rb. Wydawca E. Majewski. Skład u Wendego.

POLEMIKA. X. J. Ch.: „Ślepi wodzowie,“ kilka skromnych artykułów pod adresem butnych teologów w surducie. Str. 80, c. 40 kop.

HISTORYA. Gorzycki: „Zarys społecznej historyi państwa polskiego“ Str. 412. Wende.

RYSUNKI. Kowalewski: „Kajet rysunkowy,“ składający się z 6 części starannie dobranych i dobrze wykonanych wzorów. Nakł. Fiszera.

PODRĘCZNIKI. Konrad Drzewiecki: „Początki gramatyki języka polskiego z ćwiczeniami i przykładami.“ Warszawa, 1901. Str. 254. Nakł. Gebethnera i Wolffa.

SPRAWY EKONOMICZNE.

NOWE INSTYTUCYE HANDLOWE.

Opowiedzieliśmy niedawno na łamach *Prawdy*, jak sędziwa Anglia, mając wilczy apetyt, zamówiła sobie u swego przyjaciela, Chamberlaina, nowy garnitur zębów, aby módz lepiej przeżuwać swą strawę. To samo, jakkolwiek w innej formie, dzieje się w Niemczech. Germanowie zupełnie nie kryją się z tem, iż chcą podwoić swą porcyę dotychczasową; ludność niemiecka wskutek urzędownie stwierdzonego zmalenia śmiertelności, rozmnaża się omal z taką szybkością, jak króliki; rocznie przybywa około 800 tysięcy nowych kulturtregerów, którzy nie myślą zadawalać się nizką stopą życiową barbarzyńskich ludów słowiańskich. Trzeba zatem nowego pola zbytu, nowych rynków, a o ile Azya Mniejsza, Chiny, Afryka i Brazylia nie otworzą gościnnie swych rogatek dla kupców niemieckich, biedny naród będzie zmuszony wydzierać stare posterunki handlowe rywalom, a przedewszystkiem Anglii. Słowem, ta sama melodya, którą śpiewają bardowie ekonomiczni Albionu. Różnica zachodzi tylko taka: podczas kiedy Anglia widzi zbawienie w tem, iż cała rasa anglo-saska uchyli czoła przed majestatem Brytanii i zaofiaruje jej swe ręce do wyciągania kasztanów z ognia, to Niemiec, jako mąż praktyczny, polega przedewszystkiem tylko na samym sobie. Nie znaczy to, aby Niemcy nie chciały „zbratać“ się z innemi państwami dla odbycia wspólnych polowań na odbiorców. Przeciwnie, jeden z ekonomistów niemieckich wykazał niedawno, iż bardzo poważna i krasomówcza osobistość marzy już od lat 10-ciu o zaprzęgnięciu narodów europejskich do rydwanu handlowego Niemiec w formie „handlowej unii środkowo-europejskiej.“ Ale nim to dojdzie do skutku, Niemcy chcą o własnych siłach i własnymi środkami zaatakować wszelkie istniejące dziś na świecie pozycye handlowe. I w tym właśnie celu, ażeby w wojnie wszystkich przeciwko wszystkim odnieść zwycięztwo, przygotowują oni utworzenie dwu instytucyj, poświęconych handlowemu szpiegostwu zagranicznemu, oraz szykują podług nowych zasad groźną armię kupiecką.

Teoretycy handlu dawno już zgodzili się na to, iż instytucya konsulów w tej postaci, w jakiej odziedziczyła ją Europa po czasach dawniejszych, zupełnie nie odpowiada złożonym warunkom naszych czasów. Nim reforma konsulatów będzie dokonaną, Niemcy uchwaliły wydelegować, na wzór wojskowych *attachés*, szpiegów handlowych, których zadaniem jest wyłącznie śledzić szczegółowo rozwój i postępy handlu państw zagranicznych, a wyniki zwiadów przesyłać swym rządom. Pierwotnie Niemcy w punktach odnośnych zamianowały rzeczoznawców zdolnych, obecnie handel ma otrzymać swych własnych *attachés*. Wobec tego jednak, iż ci urzędnicy badają rzeczy i działają rozproszeni, potrzebnem jest centralne obserwatoryum państwowe dla systematycznego skierowywania z wewnątrz kraju teleskopów ku obozom przeciwników i krajom eksploatowanym. Ten „Urząd handlu państwowego“ (Reichshandelstelle) będzie przedewszystkiem informował rząd w sprawach zagranicznego handlu niemieckiego, następnie zaopatrywał izby handlowe, stowarzyszenia, kartele itd. we wszelkie potrzebne im wiadomości, nadto będzie udzielał wskazówek dorywczych lub na abonament osobom prywatnym. W tym celu będzie stale śledził i studyował zagraniczne cła, komunikacyę, transport towarowy, porty, składy towarowe, taryfy, szykany graniczne. Oprócz tego, będzie gorliwie badał potrzeby spożywców zagranicznych, ich gust i wymagania, trudności transportu, opakowania i podróży, przepisy patentowe i dotyczące znaków towarowych, warunki zbytu, najazd współzawodników i widoki ich powodzenia. Odnośne wiadomości zaś instytucya ma czerpać z najrozmaitszych źródeł, jako to: gazet, pism fachowych, protokułów parlamentarnych, memoryałów parlamentarnych (t. zw. księgi błękitne), sprawozdań konsulów, giełd, izb handlowych i t. d. W związku z tem mają powstać w rozmaitych ogniskach handlu muzea handlowe dla poglądowego zobrazowania stanu handlu, jego techniki, rozmiarów i dania pojęcia o współczesnej merceologii (nauce o towarach).

Największe znaczenie wszakże kupcy niemieccy nadają uniwersytetom handlowym, w których młoda generacya argonautów, nim wyruszy w świat po złote wawrzyny, będzie uzbrojona w „ostatnie słowo nauki.“ Jest to zjawisko prawie niezrozumiałe, jak ta sama kasta, w której oczach nauka uchodziła za stek bzdurstw, niemających żadnej wartości, a świat uczonych za waryatów, dziś uniżenie czapkuje przed epigonami Kanta, prosząc, aby synom ich dali na drogę nie znajomość codziły giełdowej, ale systematów ekonomicznych, a tutaj nawet „Krytyki czystego rozumu“. Gdy przed trzema laty „Związek stowarzyszeń kupieckich“ rozesłał na wszystkie strony do najrozmaitszych sfer kwestyonaryusz o potrzebie uniwersytetów kupieckich, przypuszczano, iż synowie Merkurego przywitają sami pomysł salwami kpin. Bo czy też przyszły doctor rer. com. potrafi lepiej spekulować i szachrować od kupca samouka? Co kupiec zyska na tem, gdy nauczy się z prac Szmollera, iż „każdy milioner ocierał się łokciem o więzienie“ (hat mit dem Aermel das Zuchthaus gestreift), lub zajrzawszy przypadkowo do dzieł Owena, znajdzie zdanie budujące każde serce kupieckie, iż handel polega na wyzysku. A jednak rzecz dziwna, ze wszystkich osób, w każdym razie wysoce kompetentnych, zagadniętych w sprawie wszechnic kupieckich, poddał projekt krytyce tylko jeden uczony, a mianowicie ekonomista G. Cohn. Przyznał, iż dzięki wykształceniu kupiec może zdobyć sobie wybitniejsze stanowisko w społeczeństwie, może wziąć goretszy udział w jego sprawach, a tem samem zyskać szacunek swych współobywateli i przestać być śmiesznym i ograniczonym pasibrzuchem. Ale zaprzeczył temu, aby uniwersytet specyalnie handlowy mógł udoskonalić kwalifikacye handlowe i spotęgować spryt kupiecki. Wszak Anzelm Rotszyld umiał zaledwie czytać i pisać, a jednak zebrał trochę uczciwego grosza. O ile wszczęła się polemika co do organizacyi uniwersytetów kupieckich, o tyle natomiast jednogłośnie zakrzyczano prof. Cohna, ważącego się wątpić o związku handlu z nauką. Przedewszystkiem wzory takich instytucyj istnieją już w Ameryce (np. Rockefellerowski College of Commerce and Political Science) we Francyi i Holandyi (Institut Superieur du Commerce). Następnie minęły te czasy, kiedy samouctwo i zmysł przyrodzony mogły wystarczyć przeciętnemu pryncypałowi firmy wszechświatowej, zwłaszcza, iż wytworzyła się pewna dziedziczna arystokracya handlowa, gdzie z ojca na syna przechodzi firma, ale nie zdolności, które chcąc niechcąc trzeba zastąpić nauką. Co ważniejsza, wielki handel Niemiec rozciąga swą sieć dziś na całą kulę ziemską, wskutek tego musi brać w rachubę nieskończone mnóstwo faktów i wiadomości, których opanowanie wymaga przygotowania naukowego. Ekonomiści francuscy i angielscy stwierdzili, iż handel niemiecki rugnje Francuzów i Anglików zarówno z Rosyi, jak ze Wschodu, przeważnie dzięki szczegółowemu uwzględnianiu wszystkich warunków obcych krajów i krajowców. Podczas gdy Francuz wierzy niezłomnie w potęgę swej blagi i natarczywości, podczas gdy Anglik polega na uroku wyższości wybranego narodu angielskiego, to Niemiec studyuje cierpliwie pole przyszłych operacyj handlowych, szykuje w tym celu wyprawy, wystawy pływające, wysyła na zwiady swych komiwojażerów, ogłasza specyalne wydawnictwa geograficzne lub handlowe w obchodzących go

kwestyach. Potrzebna jest zatem instytucya, któraby wstępującym w szranki bojownikom handlu dała w formie przejrzystej ową sumę nagromadzonego doświadczenia.

W Niemczech istnieją trzy wszechnice kupieckie, a wkrótce ma powstać czwarta, łącząca naukę handlową z wiedzą społeczno-polityczną. Przed dwoma tygodniami powstała w Kolonii wszechnica handlowa w najczystszem tego słowa znaczeniu, albowiem zupełnie niezależna od jakiegokolwiek zakładu i oparta na zasadzie zupełnej swobody „nauczania i uczenia się.“ Wybór przedmiotów i porządek studyów pozostawia się samemu słuchaczowi, przyczem ma się na widoku nie tyle jego naszpikowanie dogmatycznemi wiadomościami, ile przyzwyczajenie do niezależnego myślenia. Rzecz ciekawa, iż lwią część programu wypełnia ekonomia polityczna. Są to wprost jakby szkoły ekonomii politycznej. Przegląd powierzchowny programu pokaże nam, jakie znaczenie nadaje dziś tej nauce i jak ta gałąź wiedzy rozrosła się w potężne rozłożyste drzewo poznania. Obok ogólnej części teoretycznej, oraz działu rolnego będą zaprowadzone specyalne wykłady o handlu, ubezpieczeniach, komunikacyi, przemyśle, cłach, skarbowości i statystyce. Przytem w seminaryum słuchacz będzie miał sposobność pracować praktycznie i samodzielnie nad tą lub inną kwestyą z interesującego działu pod kierownictwem profesorów. Podczas oddzielnych wycieczek w towarzystwie docentów ekonomii i techniki zapozna się on z rzeczywistem życiem handlu i przemysłu. Jakby dla rozszerzenia widnokręgów studenta handlu, wprowadzono historyę ekonomii politycznej, handlu, teoryj społecznych, rozwoju kolonij. Sporo godzin wykładowych uniwersytet poświęca geografii handlowej traktowanej nie, jak to jest gdzieindziej, jako dział wiedzy przyrodniczej, lecz jako nauka o kulturze ludzkości na tle geograficznem. Z geografią łączy się merceologia. Oczywiście, nie zapomniano o wszelkich naukach handlowych w zwykłem tego słowa znaczeniu, oraz technologii i prawie w zakresie potrzebnym kupcom (jak np. prawo handlowe, wekslowe, morskie, upadłościowe i t. d.). Zczasem nawet wejdą w skład programu—horribile dictu — filozofia i estetyka z uwzględnieniem sztuki stosowanej do przemysłu.

H. Forszteter.

NA MARGINESIE.

Ludzie czy tygrysy. *Daily News* zamieściło niedawno wyjątki ze sprawozdania panny Emilii Hobhouse, która z polecenia londyńskiego „komitetu niesienia pomocy kobietom i dzieciom w Afryce południowej“ wybrała się w podróż do kraju Przylądkowego i od 26 stycznia do 22 kwietnia r. b. zwiedziła obozy w niewoli trzymanych kobiet i dzieci pod Bloemfontein, Norwales Pont, Aliwal North, Springfontein, Kimberley i Mafeking. Do obozu pod Kroonstadt nie wpuszczono jej. Sprawozdanie panny Hobhouse daje nam obraz strasznej niedoli tych nieszczęśliwych ofiar wojny i nieludzkiego okrucieństwa ich oprawców. Wśród nagiego, pustego stepu — opowiada p. H. — stoją gęsto przy sobie namioty płócienne, jedyna ochrona od dziennego skwaru i obfitej rosy nocnej. W namiotach gnieździ się po siedem, osiem i więcej osób, których ogółem po parę tysięcy w obozie się znajduje. Ani łóżka, ani żadnego sprzętu; posłanie stanowią kołdry, rozłożone na ziemi mokrej, co noc rosą tak obficie zwilżanej, że wodę, spływającą po ścianach namiotu, kubłami wylewają. Spotyka się tu matki oderwane od sześciorga dzieci i żyjące w zupełnej nieświadomości ich losu, kobiety brzemienne, bliskie rozwiązania i pozbawione najniezbędniejszych w takich razach rzeczy, począwszy od bielizny a skończywszy na jakiemkolwiek posłaniu. Dzieci (a w obozie pod Bloemfontein znajdowało się ich przeszło 900) w tych warunkach więdną, chorują i giną, jak muchy. Zabija je straszny żar dziennego słońca, brak powietrza w zacieśnionym obozie i chłodne rosy nocne, które przez dachy płócienne dostają się do wnętrza namiotów, zlewają pościel i odzież, a ponieważ niema jej przy czem wysuszyć, więc mokrą trzeba kłaść na siebie. Po dwa, trzy trupki wynoszą odrazu z namiotu, a do szczęśliwych liczy się ta matka, która ciało dzieciny swojej może w trumienkę złożyć. Bywa i tak, że umarłych w worki zawiązują i w ten sposób w ziemi grzebią. Pijane żołdactwo dopuszcza się wszelkiego rodzaju znęcań nad nieszczęśliwemi. Panna Hobhouse wspomina o kobiecie niebezpiecznie chorej z powodu kopnięcia w brzuch przez pijanego żołnierza.

Anglicy nie oszczędzają nawet swoich, jeśli ci stoją po stronie Burów: palą im domy, niszczą posiadłości, a żony i dzieci uprowadzają do niewoli. Jeden z takich, na widok swej spalonej siedziby, poprzysiągł nie poddać się nigdy, a gdy na żonie jego chciano wymódz, żeby mu zawiozła proklamacyę lorda Kitchenera i przez kilka dni trzymano ją w zamknięciu o głodzie, mężna kobieta zniosła męczarnie a nie uległa.

Sprawozdanie swoje zamyka panna Hobhouse kopią przez 40 kobiet podpisanego podania do majora Wright, które tu w całości przytaczamy:

„My niżej podpisane zanosimy pokornie następującą prośbę:

1) Oderwane od naszych małżonków, a przeto pozbawione pomocy, nie możemy żyć dalej w tych warunkach.

2) Wskutek niedbałości, złego zarządu i złego obchodzenia się z nami wystawione jesteśmy na deszcze, z powodu tego dzieciom naszym, wśród których i tak już panuje odra, koklusz i febra, zagraża poważne niebezpieczeństwo.

3) Pozbawione pieniędzy, nie możemy kupić sobie mydła, świec i innych niezbędnych rzeczy. Od dawna żadna z nas nie widziała czystej bielizny.

Czyż podobna znosić cierpliwie taką dolę? Prosimy więc pokornie, aby co prędzej wejrzano w nasze położenie i wrócono nam wolność, żebyśmy mogły udać się w rodzinne nasze strony. Przez Boga, miejcie zmiłowanie nad naszemi dziećmi i nami niewinnemi kobietami! Błagamy, żebyście nam pozwolili 10 marca 1901 r. opuścić obóz.“

Czy prośby wysłuchano, autorka milczy.

KRONIKA.

Szkoły. Według projektu, opracowanego przez komisyę reformy szkolnej, ilość godzin wykładowych w zreformowanych szkołach średnich ma wynosić tygodniowo 209, które podzielone będą w sposób następujący: Na naukę religii we wszystkich klasach przeznaczono 14 godzin; język rossyjski z literaturą i logiką także we wszystkich klasach — 30 godzin; lekcye języka łacińskiego zaczynać się będą w czwartej klasie i trwać dalej do końca, zajmując 16 godzin w tygodniu; jeden z nowych języków wykładany będzie we wszystkich klasach przez 20 godzin tygodniowo, drugi z nowych języków zacznie się w trzeciej klasie i otrzyma 16 godzin. Dla nauki historyi we wszystkich klasach wyznaczono 19 godzin. Geografia z rachunkowością wykładane będą w pierwszych sześciu klasach przez 15 godzin w tygodniu; dla kosmografii przeznaczono w siódmej klasie 2 godziny; dla prawoznawstwa w szóstej i siódmej klasie 4 godziny; dla matematyki 28 godzin w klasach od I do VII; dla fizyki, rozpoczynając od piątej klasy, wszystkiego 9 godzin; dla przyrodnictwa od pierwszej klasy — 9 godzin, dla rysunków i kreśleń 17, dla kaligrafii 3 godziny.

Prasa. Ogłoszoną została Najwyżej zatwierdzona uchwała Rady państwa, ustanawiająca terminy upływu mocy ostrzeżeń, udzielanych wydawnictwom peryodycznym, niepodlegającym uprzedniej cenzurze: 1) Jako dopełnienie art. 144 ust. [illegible] postanawia się: ostrzeżenie pierwsze utrzymuje moc swoją na przeciąg roku od dnia otrzymania go przez wydawnictwo peryodyczne, o ile w czasie tym nie zostanie udzielone drugie ostrzeżenie. Jeżeli zaś w ciągu jednego roku wydawnictwo otrzyma dwa ostrzeżenia, to siła ich trwa przez lat dwa od chwili otrzymania drugiego ostrzeżenia, o ile w czasie tym nie nastąpi ostrzeżenie trzecie. Po upływie określonych terminów wydawnictwo uwolnić od skutków otrzymanych ostrzeżeń, a otrzymane następnie ostrzeżenie znów uważane jest za pierwsze. 2) Skutki przepisu, wymienionego w ustępie pierwszym, zastosować do ostrzeżeń udzielanych wydawnictwom peryodycznym do chwili zatwierdzenia niniejszych przepisów.

Zjazd Sokołów w Pradze w d. 29 czerwca zgromadził przeszło 20,000 stowarzyszonych ze wszystkich krajów słowiańskich Austryi i innych. Oprócz tego przybyło wiele osób z Rosyi, Niemiec, Czarnogóry i Ameryki. Owacyjnie przyjmowano z burmistrzem Pragi na czele, deputacyę francuską, zdobiąc miasto flagami czeskiemi i francuskiemi. Podobne przyjęcie urządzono przybyłym później gościom rosyjskim.

Ze sztuki. Nagrodę konkursową w kwocie 2,000 koron, ofiarowaną przez E. hr. Raczyńskiego z powodu uroczystości otwarcia nowego gmachu sztuk pięknych w Krakowie, przyznano p. Jackowi Malczewskiemu za tryptyk p. t. „Anioł.“

Z Galicyi. Dn. 28 czerwca, rano, odsłonięto we Lwowie pomnik, wzniesiony ze składek publicznych Agenorowi hr. Gołuchowskiemu.

— W Krakowie zawiązało się Towarzystwo opieki nad pamiątkami i zabytkami sztuki i kultury polskiej. Do Towarzystwa należą konserwatorowie rządowi zabytków, wielu uczonych, profesorowie i studenci uniwersytetu, oraz obywatele miasta.

— Według danych urzędowych, Galicya wraz z wojskiem liczy 7,317,023 osób, 3,602,042 mężczyzn, 3,669,981 kobiet. Wyznania rzymsko-katolickiego 3,352,308, grecko-katolickiego 3,103,410, Żydów 810,845. Polaków 3,989,538, Rusinów 3,084,212, Niemców 201,046. Analfabetów jest 4,660,410 osób.

Z Ż. T. W Halli polskie stowarzyszenie studenckie „Filomatya“ zostało rozwiązane przez władzę uniwersytecką pod pozorem, że na mocy rozporządzenia ministra oświaty wyłącznie polskie stowarzyszenia studenckie istnieć nie mogą.

— W Środzie, w W. Ks. Poznańskiem, władza rozwiązała tamtejszy dozór szkolny, oskarżając go o usposobienie wrogie dla Niemców.

Protest maluczkich. Dzieci uczęszczające do szkoły we Wrześni, w Poznańskiem, w której niedawno wynikły zaburzenia z powodu wykładu religii w języku niemieckim, nie odpowiadają wcale na zadawane im pytania, a chcąc uniemożliwić wykład, hałasują kichaniem, używając w tym celu odpowiednich proszków. Gdy to jednak nie odniosło pożądanego skutku dzieci zebrały pomiędzy sobą 15 marek na mszę na intencyę „dzieci ze szkoły,“ co ogłoszone zostało z ambony. (*Posener Tageblatt*).

Z kolei. Kwestya wprowadzenia na drogach żelaznych biletów pasażerskich okolnych została rozstrzygniętą potwierdzająco. Ministeryum komunikacyi wezwało zarządy kolejowe do rozpoczęcia czynności przygotowawczych.

— Taryfę ulgową, dla wychowańców średnich i wyższych zakładów naukowych, zreformowano w ten sposób, że interesowani korzystać mogą z niej tylko przy wyjeździe z miejscowości, w której się znajduje dany zakład naukowy.

Zdrowie publiczne. Ogłoszono nowe przepisy w sprawie przywozu sacharyny i innych słodyczy chemicznych oraz używania ich. Oprócz specyalnego pozwolenia na prowadzenie handlu tymi produktami, uzyskanego od ministeryów spraw wewnętrznych i skarbu, apteki i składy obowiązane będą prowadzić ścisły rachunek rozchodu i przychodu słodyczy. Fabrykujący je, podlegają dozorowi akcyzy. Wszystkie napoje i artykuły, podlegające opłacie akcyzowowej, mają być stale sprawdzane przez delegatów akcyzy, czy do wyrobu ich nie są używane sztuczne słodycze. Inne artykuły rewidować ma policya.

Ruch kobiecy. Ministeryum komunikacyj w państwie rosyjskiem postanowiło dopuścić kobiety na kolejach żelaznych do posad młodszych rachmistrzów, kontrolerów, kancelistów, prowadzących dzienniki itp. Dotąd kobietom, pracującym w biurach kolejowych, oddawano niektóre tylko zajęcia pomocnicze, zwłaszcza przepisywanie.

— W Medyolanie utworzył się „Związek w celu podniesienia umysłowego i społecznego stanowiska

kobiety we Włoszech," do związku tego należy wiele kobiet znanych z prac swoich na polu literackiem i w ruchu społecznym. Organem związku jest „Unione Feminine," miesięcznik, wychodzący w Medyolanie, którego współpracowniczką jest Ada Negri.

— Parlamentowi w Medison (St. Zjedn. Am. Półn.) przedstawiono do zatwierdzenia dwa prawa: wynagrodzenia dla matek, obarczonych liczną rodziną w stosunku 10 dolarów rocznie za 6 dzieci, 12 dol. za 7-ro, 15 za 8-ro, 20 za 9-ro, 25 za 10 ro, 30 za 11-ro, 35 za 12-ro i więcej; oraz prawo opodatkowania (10 dolarów rocznie) wszystkich kawalerów powyżej lat 30. Oba prawa wniósł do parlamentu klub kobiecy w Oshkosh.

Statystyka ludności, według spisów dokonanych w ciągu ostatnich sześciu lat przez kilka państw europejskich, tak się przedstawia, w porównaniu z latami 1850 do 1900:

	1850	1900
Austrya	30,727,000	45,107,000
Niemcy	35,397,000	56,345,000
Rossya	66,714,000	128,896,000
Anglia	27,369,000	41,454,000
Francya	35,260,000	38,600,000
Włochy	23,617,000	32,449,000

Zapis. Zmarły w Rzymie malarz niemiecki, Adolf Muller, zapisał milion marek na cele publiczne, między innymi na szpital niemiecki w Rzymie. Odsetki zaś od 300,000 marek przeznaczył na coroczny zakup dzieł niezamożnych, lecz utalentowanych artystów niemieckich.

Pouczające informacye. Jeden z *Kuryerów* pomieścił następującą wiadomość: „Krótszy dzień. Doszedłszy do najwyższej swej długości, 16 godzin i 45 minut przez cztery doby stał dzień na tym samym punkcie i wypoczywał, aby nabrać sił do odwrotu, który właśnie dziś (25 czerwca) się rozpoczyna. Dzień już o minutę krótszy..." Czy to nie pouczające?!..

Katastrofa. W górniczem mieście Pocohontas, w Wirginii, d. 22 czerwca, zerwane zostały tamy wodne wskutek oberwania się chmury. Woda zalała całą okolicę, szerząc ogromne zniszczenie. Miasta Pocohontas, Keystone, Virian i inne zniszczone. Kopalnie zalane, kolej zmyta zupełnie na przestrzeni 30 mil angielskich. Zginęło około tysiąca ludzi, którzy nie zdążyli uciec przed zalewem.

Zmarli. Antoni Chomętowski, adwokat, b. redaktor *Dziennika łódzkiego*. Zmarł w gub. Witebskiej.

— Ferdynand Weigel, w Krakowie, w 78 roku życia Od roku 1869 był posłem w parlamencie wiedeńskim.

— Aleksander Parodi, dramaturg, autor sztuki „Rzym zwyciężony," w Paryżu.

— Ada Christen. poetka i autorka, w Wiedniu, w wieku lat 57.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Zdz. H. Studentowi. „Historya żydów" Hilarego Nussbauma.

Panu Pomianowskiemu w Bendzinie. W sprawie tej zabieraliśmy już głos i dalej zajmować się nią nie uważamy za właściwe.

Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 22 Іюня 1901 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.